

bibuła

ISSN 1733-6252

czerwiec 2006

Każdy ma swoją własną historię podziemia. Jedni pamiętają wpadki, inni zachowali w pamięci atmosferę, jeszcze inni wspominają swoje przewagi nad czerwonym. Tak samo trudno nakreślić panoramę działalności podziemnej. Wydawnictwa, prasa, ulotki, znaczki i przeróżne inne patriotyczne gadzety, podziemne radio, kasety, filmy, produkcja i naprawa sprzętu. Podziemne teatry, wystawy i przeróżne inne imprezy kulturalne czy polityczne. To wszystko robiliśmy, czasem na raz. Problem jest także z miejscem czy charakterem różnych miast lub regionów. Powiązane ze sobą wieloma niemi, miały jednak swoją specyfikę.

O tej specyfice, na początek jedynie miejsc, gdzie nasze Stowarzyszenie Wolnego Słowa uruchomiło w ostatnim czasie swoje oddziały, są to Kraków, Lublin, Łódź i Wrocław, chcemy powiedzieć nieco w tym numerze „Bibuły”.

Chcemy też przypomnieć różne inne, niekoniecznie wydawnicze (jak wydawnicze, to dość niecodzienne) formy działań związanych z wolnym słowem w PRL.

Jakie?

Proszę zajrzeć do naszego pisma.

J.S.

IRENEUSZ i BARBARA, czyli Komandor i Oficer

Szturmujące czołgi, strzelające na postrach działa, swąd rakiet dymnych przelamują opór strajkujących. Fizyczny. Nie naruszają psychicznego. Z upływem czasu nawet go umacniają. W następnych tygodniach i miesiącach spią się gazetki, ulotki, pojawiają plakaty. Wszystko to dobre... – myśli pan Henio – ale radio byłoby lepsze!

Piorun nagły, a gdyby tak zdobyć jakiś nadajniczek, żebyśmy mogli tu do naszych mieszkańców w Świdniku mówić! Nie może się wyzwoić od takiego przekonania. Znow tu i ówdzie przepytuje o możliwości. Bez powodzenia. A szkoda, bo w Warszawie, w Wielkanoc podziemie odezwało się skądś z dachu... Aż nasz fantasta-realista [Henryk Gontarz] przypomina sobie, że koleżanka z grudniowego Komitetu Strajkowego, Basia Haczewska – której w jakimś dramatycznym momencie łamania strajku uratował życie – ma męża elektronika, Ireneusza.

W połowie grudnia 1957 r. w lubelskim eterze nagle i niespodziewanie pojawiła się konkurencyjna stacja radiowa, średniofalówka, znikomej mocy, o zmieniającej się długości fali – najpierw bliższej czterystu potem dwustu metrom. Dziwne programy, złożone z zagadkowych zapowiedzi, pogwizdywania, jakichś piosenek, śmiechu... odebrali m.in. technicy tu-tejszej Rozgłośni, a także urzędowo czujni funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Nadstawili uszu, nastawili magnetofon i rejestrowali, co leciało. Póki same śmichy-chichy, machali ręką. Sprawa stała się poważna, kiedy za którymś razem dało się słyszeć: Mówi Rozgłośnia Polska „Radia Wolna Europa”, nadajemy...

Namierzenie miejsca, z którego dobiega fala, jest, jak wiemy, niezwykle proste. Nie natrudziły się pelengatory, niedaleko było samochodom do miejsca „przestępstwa”.

Zadna odległość z Narutowicza [siedziba Ko-

CDN str. 2

KOR na prowincji

KOR w Łodzi powstał w znacznej mierze odmiennie niż w Warszawie. W tej części, w której musiał konspirować, jak część kontaktów, druk i kolportaż etc., nie miał za sobą tradycji Powstania Warszawskiego czy Szarych Szeregów. Nie miał też za sobą nowszych doświadczeń Października '56, Klubu Krzywego Koła, warszawskiego KIK i „Więzi” – miał natomiast w tle silne doświadczenie pokoleniowe.

KOR nie powstałby w takim mieście jak Łódź, gdybyśmy po Marcu i Grudniu nie tworzyli dość licznego środowiska, lepiej powiedzieć kręgów towarzyskich i środowiskowych złożonych dość długim doświadczeniem uczestnictwa w kulturze i kontrkulturze. Najbardziej spajały nas wystąpienia w obronie osób usuwanych z pracy, pozbawianych karnie mieszkania, możliwości studiów, relatywnej swobody wypowiedzi, wreszcie poddanych sankcjom za podjęcie strajku. Wówczas to się znamienne nazywało „przerwą w pracy”.

Od słów do czynów

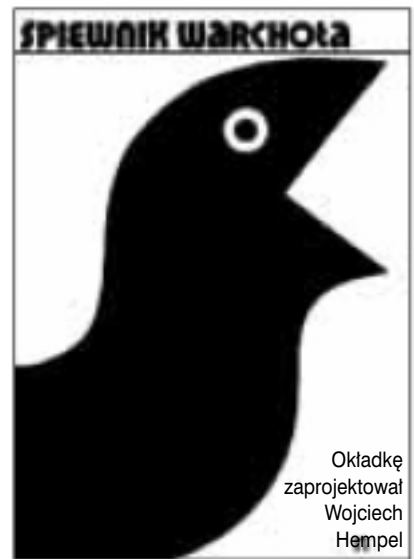
Taka przerwa w pracy wybuchła w łódzkiej „Bistonie” 17 lutego 1976 r. i władze wylały z pracy załogę teksturowi, a my w parę osób próbowaliśmy zorganizować obronę karnie relegowanych. Nie cieszyło się to wśród przyszych zdeklarowanych opozycjonistów należytnym zrozumieniem, ale stopniowo opory topniały i strajki znalazły się odąd nieraz w naszym polu widzenia.

Nie wiedzieliśmy (a teraz widzimy z kart IPN), że nasze zainteresowanie uruchamiało konkurencję władz policyjno-partyjnych, które chcąc odebrać nam przedmiot obrony, same jakoby zadbały, by wyrzucanym zapewnić wkrótce inną pracę. Chodziło im o to, by nie pozwalać na produkowanie grup ludzi zradyzalizowanych w kręgach robotniczych. W ten sposób nasze interwencje po wystąpieniach 25 czerwca 1976 i zwolnieniach z „Emforu”, „Elty”, ZTK „Teofilów” i innych fabryk zyska-

ły nieco na skuteczności, a my sami zyskiwaliśmy pewną znajomość środowisk robotniczych dotąd dość odległych od świata młodych inteligentów. Ten zwrot zmienił szlachetnych pięknotuchów

w działaczy społecznych, w ludzi, którzy własnymi oczyma zaczęli przypa-

trywać się codziennej praktyce ówczesnego państwa, jego sądów, milicji, organów bezpieczeństwa, innych członów nomenklatury. Wkrótce też – państwowej edukacji historycznej obfitującej białymi plamami i cenzurze, która o te właśnie plamy, ich biel czy inne umaszczenie, dbała na co dzień. Skończyły się długie, nocne, do pewnego stopnia czcze rozmowy. Teraz to my zaczęliśmy nadać bieg zdarzeniom, sami wytyczając co wolno i co warto podejmować, niezależnie od tego jak



Okładkę zaprojektował Wojciech Hempel

CDN str. 8

Podziemne media

„Idea nasza [Radia 'Solidarność'- MZ] opiera się na bardzo prostej podstawie. Sądzę, że każdy ma prawo do tego, aby być obszernie i ucziwie poinformowany o wydarzeniach w kraju.” – powiedział Zbigniew Romaszewski w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel” w 1982 r.

Najbardziej popularnym środkiem przekazywania informacji z pominięciem cenzury była bibuła, ale próbowano wykorzystywać również inne środki przekazu. Wśród nich najbardziej dostępne były kasyety magnetofonowe, masowo powielane amatorsko jak i przez Niezależną Oficynę Wydawniczą NOWA czy Wydawnictwo CDN.

Mniejszy zasięg miały kasyety wideo, ze względu na brak odtwarzaczy (choć ich liczba w Polsce w porównaniu z innymi państwami bloku wschodniego była dość wysoka). Radzono sobie z tym organizując domowe kina w prywatnych mieszkaniach. Korzystano z przemycanych z Zachodu kaset z filmami i programami „Video-Kontakt”, oglądano też filmy niedopuszczone do rozpowszechniania w kraju.

Najmniejszy zasięg miało podziemne radio. Było to jednak przedsięwzięcie najbardziej spektakularne. We wspomnianym wywiadzie Z. Romaszewski mówił o podziemnym radiu: „Jest to nasza odpowiedź na propagandę władz, a jednocześnie dowód na to, że „Solidarność” żyje. Jest to sprawa o ogromnym znaczeniu dla morale narodu”.

Radio „Solidarność”, założone przez Zofię i Zbigniewa Romaszewskich, to pierwsze w Polsce konspiracyjne radio. Nadawanie rozpoczęło na paśmie UKF 12 kwietnia 1982 r. Prace radia przewały aresztowania. Po aresztowaniach, 17 lutego 1983 r., radio nadal działało. W 1983r. przyjęło nazwę: I Program Radia „Solidarność”. Kierował nim Wojciech Stawiszyński.

W 1983r. powstało i działało Radio „Wola”, związane z Międzyzakładowym Komitetem Koordynacyjnym „Solidarność”. Redakcję tworzyli m.in. Andrzej Piszczatowski, Elżbieta Wasielewska – Kessel, Maria Dłużewska i Andrzej Wiśniewski.

W 1984 r. powstał II Program Radia „Solidarność”, założony przez redaktorów „Tygodnika Wojennego”: Andrzeja Fedorowicza, który nim kierował, i Jana Strękowskiego.

W 1985 r. powstał III Program Radia „Solidarność” kierowany

IRENEUSZ i BARBARA, czyli Komandor i Oficer



ze str. 1

mendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa] do Żniwniej. Tam przy domku z numerem 20 (dziś 22) dała się widzieć sporej długości linka antenowa, rozpięta między tyczką na dachu a smukłym masztem w ogródku. Mieszkała tu rodzina Haczewskich, a sprawcą naruszenia monopolu państwa „w zakresie przygotowywania i emisji programu radiofonicznego” okazał się 16-letni Ireneusz, uczeń liceum im. Staszica.

Utalentowany chłopiec od najmłodszych lat interesował się czynnie techniką, zwłaszcza radiową. Naprawiał, przebrał i budował odbiorniki. Zapisał się nawet do Radioklubu Ligi Przyjaciół Żołnierza, gdzie po raz pierwszy zetknął się z prawdziwym nadajnikiem wymontowanym z sowieckiego czołgu. Odrzysował schemat. Był prosty. Ale zbudować czegoś takiego w klubie nie pozwalano. Powrócił zatem do majsterkowania domowego. Skompletował niezbędne części, złożył w całość i... naruszył paragrafy karne.

27 marca 1958 r. zasiadł na ławie oskarżonych sądu dla nieletnich. Nie pamięta już, jakiej kary zażądał ławnik (!) występujący w roli prokuratora. Ciekawsze stało się to, że obrońca z urzędu był dla obwinionego surowszy niż sąd. Wniósł bowiem o „łagodny wymiar kary”, trybunał zaś orzekł uniewinnienie.

Niezwykły proces odbił się głośnym echem w prasie... warszawskiej. Lubelska – najpierw milczała, a potem zamieściła krótkie notki ze zdjęciami.

Radio – i lokalne, i centralne – zachowało się należycie. Noemi Bogusławska i Krystyna Procnier z Redakcji Społecznej Polskiego Radia zaprosiły Irka do Warszawy, zapewniając mu tam wgląd w kuchnię radia profesjonalnego, a starsi koledzy z miejscowej rozgłośni również mile gościli go w swojej siedzibie.

Życie pięknie spuentowało powiązania Ireneusza Haczewskiego z Radiem Wolna Europa. Zaczęły się od dziecięcej retransmisji w roku 1957, a ukoronowały w latach 1988-89 funkcją lubelskiego korespondenta rozgłośni monachijskiej. Stał się nim po wycizew w Włoszech, gdzie jako przedstawiciel „Solidarności” podpisywał porozumienie z tamtejszymi związkami. Wówczas spotkał w Rzymie Marka Lehnerta z Radia Wolna Europa. Za jego to sprawą, w ciągu 2 lat I. Haczewski – jawnie, pod własnym nazwiskiem – przekazał na falach tego radia ponad 10 godzin wieści z Lublina i regionu. Lubelskimi korespondentami Radia WE byli też: Janusz Winiarski i Waław Biały. [W okresie stanu wojennego I. Haczewski wstąpił do tajnego Stowarzyszenia Dziennikarzy

Polskich, potem zaś wszedłszy w posiadanie kamery wideo, dokumentował działalność lubelskiego podziemia. Wielką część tego dorobku zdołał zaprezentować na początku lat 90. w lokalnej telewizji. Całość przechowuje w zbiorach prywatnych. – red.]

„Dzieckiem w kolebce...”

...kto zrobił detektor, a jako młodzieniec – tak sobie od chcenia-niechcenia – znajdował radiostację, ten jest idealnym kandydatem na konstruktora nadajnika, który w marzeniach świdnickiego ślusarza, urwie łeb komunistycznej hydrze.

Spotkały się osoby, zespoliły zamiały – nastąpiło działanie. Stało się ono szybkie i skuteczne głównie dzięki temu, że I. Haczewski nie siedział w swoim M-ileś na Czubach z założonymi rękami, ale już mocno zaawansował produkcję dokładnie tego, do czego wzdychał pan Henryk. Prawdziwie „zestrzelenie w jedno ognisko myśli i duchów”!

Konkretnie, były szesnastolatek, a teraz już czterdziestolatek, miał w świeżym dorobku dwa egzemplarze mininadajników ultrakrótkofalowych, sfabrykowanych na bazie monofonicznego magnetofonu kasetowego B-113, wytwarzanego przez „Unitrę” w Lubartowie. Jak przystało na czas totalnej (i totalitarnej) militarystyki, owo cudo techniki nazwano „Kaprą”.

Nie uświadamiałem sobie wtedy jeszcze – powiada pan Haczewski – że będzie to już drugi kaprał stający przeciw generałowi, ponieważ nie znałem wtedy stopnia wojskowego przewodniczącego „Solidarności”.

Dlaczego „kaprał”?

Odpowiedź jest prosta. Prymitywny wyrób lubartowski miał sporą obudowę, mało wypełnioną elementami. Po usunięciu zasilacza sieciowego i wymianie fabrycznego głośniczka na ośmiokrotnie mniejszy, robiło się miejsce na mikrofon pojemnościowy, tranzystory i parę innych koniecznych części, tworzących obwód rezonansowy z modulacją częstotliwości, o mocy w granicach 2-6 watów.

Największe problemy były ze zdobyciem odpowiednich tranzystorów – wspomina konstruktor – W końcu udało się je kupić przez podstawionego człowieka, dla bezpieczeństwa, w znanym od dawna lubelskim majsterkowiczom sklepie przy ul. Wojciechowskiej.

I sumuje: Prostszy nadajnik niż ten zbudować by się nie dało. [Bez przeróbek – tylko do odtwarzania kaset wykorzystywało „Kaprą” Radio „Solidarność” w Warszawie. Nadajnik pn. „Komar” skonstruował inż. Ryszard Kotyżko.

To był bardzo mały nadajnik – mówił Zbigniew Romaszewski na seminarium

„70 lat Polskiego Radia” w kwietniu 1995 r. – „Komar” mieścił się, wraz z „Kaprą” po prostu w teczce. – red.]

W Lublinie nie wypaliło

Pierwszego „Kaprą” nastroił Haczewski na antygeneralską falę jeszcze w roku 1982. Skontaktowały się z nim w tej sprawie aż dwie ekipy z podziemia. Nagrano na kasetkę stosowne teksty, ilustrowane słynnymi Murami Kaczmarckiego-Gintrowskiego. Jednak nic z tego nie poszło w eter, a i sprzęt przypadł, ponieważ operatorów spłoszyła nadjeżdżająca karetka pogotowia ratunkowego. Wzięli ją za milicyjną i uciekli, zostawiając super „Kaprą” własnemu losowi. Nim wrócili, już go nie było.

Stanisław Fornal

Powyższy tekst jest fragmentem pracy Stanisława Fornala Jak kaprał z generałem wojował... Radio Solidarność Świdnik (1983-1988), nagrodzonej na konkursie SDP w 2001.

3 maja 2006 r., w dniu Święta Narodowego, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński odznaczył

Ireneusza Haczewskiego KRZYŻEM KOMANDORSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI

Barbarę Haczewską KRZYŻEM OFICERSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI

- w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej, za działalność na rzecz przemian demokratycznych i wolnej Polski

Konkurs SDP

„Podziemne słowo”

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich ogłosiło 13 grudnia 1999 r. konkurs na wspomnienia i dokumentację wydawania prasy podziemnej. Jury przyznało pierwszą nagrodę KRYSYNIENI NOWIŃSKIEJ z Wrocławia za pracę: Samarytanka, długą nagrodę WIESŁAWIE GROCHOLI z Warszawy za pracę:... była taka zabawna HISTORIA... czyli jak nie rozpełtałem Trzeciej Wojny Światowej (rozmowa z Adamem Grzesiakiem, drukarzem NOWEJ), dwie nagrody trzecie JERZEMU PAWLASOWI z Warszawy za pracę: Głos wolny wolność ubezpieczający oraz STANISŁAWOWI FORMALOWI z Lublina za pracę: Jak kaprał z generałem wojował. Trzy wyróżnienia PAWŁOWI FALICKIEMU z Holandii za pracę: „Replika” – niepokorne dziecko Solidarności, IRENIENI GŁOWACKIEJ z Warszawy za pracę: Nie spałszy na styropianie. Wspomnienia „kolportażystki i konspiratorki od wszystkiego”, KRZYSZTOFOWI STASINOWSKIEMU z Warszawy za pracę: Wspomnienia z Instytutu Lotnictwa z lat 1981-1989. Wyróżnienia honorowe przyznano: WOJCIECHOWI GÓRECKIEMU, MACIEJOWI ŁUKASIEWICZOWI i WŁODZIMIERZOWI WÓWCZUKOWI.

Antologia prac nagrodzonych „Podziemne słowo” wydana zostanie na 25 rocznicę wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. **EB**

Podziemna rozgłośnia

Do momentu powstania „Solidarności” nie było możliwości, przede wszystkim technicznych, tworzenia innych niezależnych od ówczesnych władz mediów niż podziemne wydawnictwa. Po Sierpniu '80 zaczęły powstawać regionalne radia „Solidarność”. We Wrocławiu Sekcję Radiową przy Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim NSZZ „Solidarność” Region Dolny Śląsk zaczęto tworzyć w styczniu 1981 r.

Radio po 13-tym

Zepchnięcie „Solidarności” do konspiracji nie spowodowało zarzucenia realizacji idei niezależnego radia. Powstały po wprowadzeniu stanu wojennego Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk przystąpił do organizowania takowego. Skompletowany zespół redakcyjny przygotował pierwszą audycję, która nie została jednak wyemitowana. Następną 25 – minutowa, została nadana 29 sierpnia 1982 r. o godzinie 22. W ten sposób we wrocławskim eterze pojawiło się Radio RKS „Solidarność” Wrocław. Emisję tę poprzedził okres żmudnych prac organizacyjnych oraz konstrukcyjnych. Ostatecznie struktura radia na dobre wykrystalizowała się na początku 1983 r. Była ona następująca:

- redakcja; składała się z 3 osób zajmujących się przygotowaniem scenariusza audycji i jego realizacją,
- technika; był to zespół 3 lub 4 osób zajmujących się konstruowaniem i budowaniem sprzętu nadawczego,
- stawiace; to kilka osób, które zajmowały się umieszczaniem w terenie nadajników.

Program przygotowywano i nadawano zazwyczaj przed ważniejszymi dla członków „Solidarności” rocznicami i wydarzeniami. Każda audycja zaczynała się fragmentem „Roty”. Następnie spikerzy witali słuchaczy i odczytywali serwis informacyjny. Po nim emitowano przemówienie któregoś z bardziej znanych działaczy opozycji. Informacje z dolnoślą-

skich zakładów pracy były kolejnym elementem audycji, po którym nadawano felieton oraz nagrania z ważniejszych dla „Solidarności” wydarzeń lat 1980-81 lub antykomunistycznych manifestacji po wprowadzeniu stanu wojennego. Audycję kończyła jedna z piosenek powstałych w obozie dla internowanych lub specjalnie nagranych dla radia. Opracowaną przez redakcję audycję przekazywano lektorom, którzy nagrywali swe partie. Następnie dobierano materiał dźwiękowy i montowano. Gotowy program nagrywano na kasyety magnetofonowe; ich liczba odpowiadała ilości nadajników. Audycje trwały zazwyczaj kilka – kilkanaście minut, była też audycja godzinna.

Sprzęt

Sekcja techniczna montowała nadajniki z części produkcji krajowej lub zagranicznej osiągalnych w Polsce. 95% części:



Propagandowa ulotka WRON-y przeznaczona dla żołnierzy LWP

można było zdobyć bez większych problemów. Najtrudniej było z uzyskaniem tranzystorów końcówki mocy, które – dopóki były osiągalne – kupowano w sklepach radiotechnicznych. Później docierały one z punktów naprawczych krótkofalówek używanych przez milicję, wojsko, SB i PKP lub były kupowane i przywożone do Polski, przede wszystkim przez francuskich i szwajcarskich trockistów. Do Wrocławia z Zachodu dotarły jeszcze 3 włoskie nadajniki. Zmontowany sprzęt testowano przy pomocy urządzeń znajdujących się w miejscach pracy – wbrew zasadom konspiracji – osób je budujących. Zespół urządzeń, który słu-

żył do emisji audycji, składał się z nadajnika, anteny, magnetofonu, zespołu zasilającego i tzw. timera (był to zazwyczaj budzik radzieckiej produkcji) włączającego z opóźnieniem cały zespół. Do emisji pierwszej audycji, która miała się odbyć wieczorem 5 sierpnia 1982 r. użyto zespołu urządzeń luźno ze sobą połączonych. Położony na kamieniu magnetofon zsunął się z niego, rozłączył się, w efekcie zaczął pracować tylko nadajnik i do transmisji nie doszło. Od tego momentu cały sprzęt montowano jako jedną całość. Nadajniki miały wymiary sześciąnu: 30 x 30 x 30 cm, do którego podłączano antenę o długości 220 cm, zawieszoną na namiotowym maszcie o wysokości 180 cm. Miały one moc od kilkunastu do 40 W.

Emisja

Najtrudniejszym zadaniem było opracowanie

i zmontowanie odpowiedniej anteny; posługiwano się trzema typami anten: dipolową, kierunkową oraz piętrową. Po przygotowaniu audycji i sprzętu na-

dającego do akcji wkraczali stawiace. Wyszukiwali oni miejsce nadających się do umieszczenia nadajnika. Nadajniki instalowano zazwyczaj 20 minut przed emisją. Po umieszczeniu nadajnika stawiacz włączał timer i wycofywał się. Po określonym czasie nadajnik zaczynał emitować audycję. Emisje zasięgiem zawsze obejmowały cały Wrocław i sporą część jego okolic, jedna z audycji była słyszalna nawet w Kępnie. Podobne transmisje miały miejsce m.in. w Wałbrzychu, Dzierżoniowie, Kłodzku i Głogowie.

Ogółem wyemitowano kilkanaście audycji. Na pewno miały miejsce 28 sierpnia, 22 i 28 września, 25 października, 8, 16 i 17 listopada oraz 16 grudnia 1982 r., zaś w 1983 r. trzydziestego kwietnia. Emisje odbywały się między

przez Andrzeja Gelberga. Radio „Solidarność” działało aż do czerwca 1989 r. (II Program Radia „Solidarność” do lutego 1989)

8 marca 1987 r. pierwszą audycję nadało Radio NZS.

Po emisji pierwszej audycji Radia „Solidarność” podziemne rozgłośnie radiowe powstały także w innych miastach.

12 maja 1982 r. w Poznaniu Radio „Solidarność” nadało 10-minutową audycję. Współzałożycielami radia było środowisko „Obserwatora Wielkopolskiego”. Pierwsza audycja zawierała informacje m.in. na temat sytuacji w regionie i w kraju. 10 lipca 1982 r. po raz pierwszy wyemitowano audycję na fali nośnej fonii telewizyjnej.

Do końca 1982 r. w Poznaniu odnotowano 42 audycje Radia „Solidarność”.

Radio pracowało ponad trzy lata, nadało 90 audycji w ponad 500 emisjach.

W Poznaniu funkcjonowało również Radio „Solidarność Walcząca”, obejmowało zasięgiem kilka dzielnic miasta.

27 czerwca 1982 r. we Wrocławiu wyemitowano pierwszą audycję, przygotowaną przez grupę związaną z „Solidarnością Walcząca”, miała niewielki zasięg. Największym osiągnięciem tego radia była emisja audycji „na żywo” nadana 31 sierpnia w trakcie masowych demonstracji we Wrocławiu.

Znacznie silniejszy zasięg miały audycje Radia „Solidarność” przygotowywane przez ekipę RKS. Wprawdzie pierwsza audycja, którą próbowano nadać 5 sierpnia, była nieudana, ale już kolejna, z 29 sierpnia, doskonale słyszalna.

Łącznie w 1982 r. we Wrocławiu wyemitowano 34 audycje, z czego 28 nadało Radio „Solidarność Walcząca”, a 6 Radio „Solidarność”. Audycje trwały od 3 do 50 minut.

8 czerwca 1982 r. w Gdańsku wyemitowano pierwszą audycję Radia „Solidarność”.

12 czerwca – w Krakowie, a 29 sierpnia nadano audycję w Gliwicach.

23 września 1982 r. w Bielsku-Białej na falach ultrakrótkich wyemitowano pierwszy program podziemnego radia – przez 10 minut nadawano muzykę rozrywkową, ale już w październiku i listopadzie zaczęto emitować kilkuminutowe audycje Radia „Solidarność”, które obejmowało zasięgiem ok. 30 proc. obszaru Bielska-Białej. Za działalność podziemnej rozgłośni odpowiadał Józef Wróbel. Audycje emitowano z przenośnego nadajnika.

W kolejnych dniach i miesiącach 1982 r. Radio „Solidarność” nadało program po raz pierwszy (lub prawdopodobnie po raz pierwszy):

28 września 1982 r. – w Legnicy;
30 września – w Głogowie;
11 października – w Jeleniej Górze;
12 października – w Kędzierzynie Koźlu;
12 października – w Legionowie;
13 października – w Węgorzewie;
24 października – w Klodzku;
25 października – w Bydgoszczy;
8 listopada – w Świdnicy;
8 listopada – w Toruniu;
14 grudnia – w Białowie.

W Toruniu wykorzystywano szczególną „technologię”: nadajniki radiowe, skonstruowane przez Zygmunta Tarło i Jerzego Wieczorka, podczepiano do balonów wykonanych z dętek piłek plażowych napełnionych wodorem. Nadajniki wypuszczano w przestworza kilka kilometrów od Torunia. Radio było odbierane nawet 40 km od miasta. SB na próżno próbowało namierzyć nadajniki, sprawa wydała się dopiero wtedy, gdy jeden z nadajników wylądował na Białorusi. (Zimą 1984 r. Jan Hanasz, Grzegorz Drozdowski i Leszek Zalewski zorganizowali „balonową” audycję radiową na Górnym Śląsku.)

9 grudnia 1982 r. zastępca Ministra Spraw Wewnętrznych gen. Stachura poinformował, że w 1982 r. zlikwidowano 11 radiostacji Radia „Solidarność”.

29 kwietnia 1983 r., po godz. 21, nadano pierwszą audycję Radia „Solidarność” w Świdniku. (Wzowano społeczeństwo Świdnika do bojkotu oficjalnych obchodów 1 Maja). Audycje były nadawane nieregularnie, ich zasięg nie przekraczał 1 km. Radio działało przez pięć lat. W tym czasie wyemitowało 43 audycje (od 14 lutego 1984 r. na ścieżce fonii TVP). Radiem kierował Grzegorz Gontarz przy współpracy Franciszka Zawady. Do zespołu należeli m.in.: Alfred Bandos, Maria Mańko, Bogumiła Górka, Leszek Fiołek, Bolesław i Waldemar Kaczmarczyk, Andrzej Niewczas, Mirosław Sola, Andrzej Sokolowski, Jan Kozak.

Radio „Solidarność” działało również w kilku innych miejscowościach na Lubelszczyźnie:

- ok. 30 audycji nadano w Puławach na częstotliwości fonii I Programu TVP;

- nadawano także w Poniatowej i Łęczycy.

Nadajniki pracujące na Lubelszczyźnie skonstruował Ireneusz Haczewski. Przez siedem lat intensywnej pracy spośród kilkunastu tych nadajników w ręce SB

Podziemna rozgłośnia



ze str. 3

20 a 22 na falach UKF. Po nadaniu piątej audycji (16 i 17 listopada 1982 r.) redakcja wysłała ówczesnemu pierwszemu sekretarzowi KW PZPR Tadeuszowi Porębskiemu honorarium za wyemitowane antypapieskie fragmenty jego przemówienia.

SB stara się

Działanie radia, było spektakularnym propagandowo faktem, niewygodnym dla władz. I musiało spowodować energiczne działania z ich strony. Obok funkcjonariuszy SB i MO, do zwalczania radia włączono Państwową Agencję Radiotelekomunikacyjną oraz śmigłowiec z wrocławskiego oddziału Instytutu Łączności w Warszawie. Pierwszy nadajnik został przejęty przez funkcjonariuszy SB na dachu budynku przy ul. Buskiej 25 października 1982 r. tuż po zakończeniu emisji trzeciej audycji. Urządzenie zostało pokazane przez lokalną telewizję w programie informacyjnym „Rozmaitości”, odtworzono również ze „zdobyciej” kasety fragment audycji.

Triumfalistyczny komentarz, jakim opatrzone całe wydarzenie, sugerował rozbiście radia RKS. Członkowie tego radia uznali tę audycję za świetną reklamę i od tego momentu postanowili wydłużyć czas trwania programów, który nie przekraczał 12 minut. Wydłużając trwanie emisji, liczone na kolejne telewizyjne „reklammy”. By jednak zbytnio nie ułatwiać funkcjonariuszom SB i MO zadania, po instalacji spisanego już na straty nadajnika blokowano na stałe drzwi albo montowano inną „niespodziankę”. Wpadkę ekipa radia nie miała. Poza jedną. Przez przypadek podczas rewizji w jednej z podwrocławskich wiosek milicjanci znaleźli jeden z trzech włoskich nadajników. Fakt ten jednak nie doprowadził do dekonspiracji struktur radia.

Warto tu również wspomnieć o zatrzymaniu 16 grudnia 1983 r. (tuż przed emisją kolejnej, zapowiadanej audycji) na 48 godzin ok. 50 osób, które SB podejrzewała o działalność w radiu RKS. Typowano niezłe, wśród aresztowanych znalazł się szef redakcji, którego jednak nie rozpoznano. W walce z radiem władze wykorzystywały zagłuszarki, również i te znajdujące się na wyposażeniu stacji znajdujących w Polsce wojsk radzieckich. Ich użycie utrudniało lub wręcz uniemożliwiało zlokalizowanie nadajników i stąd nie zawsze uciekano się do tej metody.

Audycje uliczne

Swe audycje radio RKS nadawało również z megafonów, do których podłączano magnetofon (zazwyczaj

z autorewersem) i urządzenie opóźniające. Całość umieszczano w miejscu trudno dostępnym, np. na drzewie lub wysoko zawieszonym neonie. Pierwsza taka audycja, czyli „tuba”, miała miejsce 1 listopada 1982 r. na cmentarzu grabiżyńskim niedaleko grobu Kazimierza Michalczyka, zabitego 31 sierpnia 1982 r. Innej „tuby” wysłuchało kilkaset osób 30 stycznia 1984 r. między godz. 14.30 a 15.00 u zbiegu ulicy Zmigrodzkiej i Zawalnej. Audycji takich było kilkanaście.

Pod koniec lutego 1983 r. na terenie dolnośląskich zakładów pracy zaczęto rozprowadzać numer pierwszy oraz wydanie specjalne „Biuletynu Radiowego” RKS. „Biuletyn” składał się z dwóch kaset. Pierwsza poświęcona była procesowi drugiego przewodniczącego RKS Piotra Bednarza. Na drugiej przedstawiono sylwetki uwiecznionych członków Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, materiał historyczny oraz wywiad przewodniczącego RKS Józefa Pinióra dla amerykańskiej sieci radiowo – telewizyjnej NBC. Wydanie specjalne poświęcono Oświadczeniu Programowemu Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarność”, zawierało też wywiady z jej członkami. Biuletyn miał mieć charakter publicystyczny i być miesięcznikiem. Ostatecznie zredugowano 7 lub 8 biuletynów, które co 2 lub 3 miesiące przegrzewano na kasety magnetofonowe i przekazywano do rozprowadzania tajnym komisjom zakładowym „Solidarności”.

Przerwa i powrót

Radio przerwało działalność w 1985 r. Najpierw zrezygnowano w pierwszej połowie 1984 r. z emisji na falach ultrakrótkich. Rok później skończyły się „tuby” i zaprzestano redagowania biuletynu. Radio na dobre zawiesiło swe funkcjonowanie z chwilą, gdy redakcja rozpoczęła redagować biuletyn informacyjny RKS „Z Dnia na Dzień”.

Radio „Solidarność” Wrocław ponownie zaczęło nadawać swoje audycje w 1988 r., kiedy to w jego działalność włączyli się członkowie NZS.

We Wrocławiu obok radia „Solidarność” nadawało również Radio „Solidarność Walcząca” (pierwszą audycję nadano 27 czerwca 1982 r., ostatnią w 1990 r.), które wyemitowało ponad 100 audycji. Radio NZS zaczęło swą działalność w 1983 r. i kontynuowało ją do 1989 r. Wrocławianie mogli wysłuchać ponad 50 studenckich programów. Również uczniowie wrocławskich szkół średnich – skupieni w Międzyszkolnym Komitecie Oporu – próbowało swych sił na radiowej niwie. Wyemitowali oni prawdopodobnie jedną audycję; w styczniu 1986 r.

Szczepan Rudka

Pierwsze podziemne radio zorganizowało w Warszawie małżeństwo Zbigniewa i Zofii Romaszewskich w kwietniu 1982 roku. Rozprawienie się z nim zajęło Służbie Bezpieczeństwa trzy miesiące. Prawdziwe kłopoty na falach eteru sprawił reżimowi dopiero Wrocław – pisał w 2003 roku na łamach „Newsweeka” Andrzej Krajewski. Ciekawe stwierdzenie, tyle że nie do końca prawdziwe. To prawda, że w walce z warszawskim Radiem „Solidarność” Służba Bezpieczeństwa szybko osiągnęła sukcesy, ale z mniejszym lub większym powodzeniem funkcjonowało ono do połowy 1989 roku.

Siekiera, motyka...

Pierwsze inicjatywy, związane z uruchomieniem przez podziemne struktury „Solidarność” niezależnych radiostacji, pojawiły się wiosną 1982 r. Powstawały niezależnie od siebie w kilku miastach, najszybciej radio zaczęło jednak funkcjonować w Warszawie, pod kierownictwem Zbigniewa i Zofii Romaszewskich. Po raz pierwszy audycja Radia „Solidarność” została wyemitowana 12 kwietnia 1982 (w drugi dzień Świąt Wielkanocnych), stając się wielką sensacją dla mieszkańców stolicy. Z dachu budynku przy rogu ulic Niemcewicz i Grójeckiej nadali ją Marek Rasiński i Janusz Klekowski, za pomocą nadajnika skonstruowanego przez inżyniera Ryszarda Kołyszko. Trwała ona niespełna osiem minut, była słyszalna nie tylko w Warszawie, ale też w Nowym Dworze czy Falenicy, a nawet podobno w... Tarnobrzegu (co wynika ze specyfiki fal ultrakrótkich, na których ją wyemitowano).

„Staliśmy na dachu wieżowca w śródmieściu Warszawy. Wokoło nas fantastyczny widok – setki tysięcy światła, aż po niewidoczny w ciemności horyzont. Punktualnie o wyznaczonej porze (chyba była to godzina 21.00) pełni emocji włączamy nadajnik i magnetofon z nagraniem audycji. Jeden z nas trzyma w wyciągniętej ręce antenę, drugi stoi o kilka kroków dalej z radioodbiornikiem kontrolnym. I wielka ulga: nadajnik „zagrał”. Słyszymy „fifulki” [przerobiona fraza okupacyjnej piosenki „Siekiera, motyka...” – G.M.] – sygnał rozpoznawczy i pierwsze zdania audycji. Bo tego najbardziej w głębi duszy obawialiśmy się, choć nikt tego głośno nie wypowiedział: żeby nieprzewidziana awaria techniczna nie zniweczyła naszych żmudnych, wielotygodniowych prób i przygotowań i nie sprawiła gorzkiego zawodu tysiącom naszych słuchaczy. W połowie programu pauza, przed którą prosiłmy słuchaczy, aby potwierdzili słyszalność audycji mruganiem światła. I oto przed naszymi oczami rozmigotała się cała Warszawa, aż po najdalsze krańce. W pobliskich domach otwierały się okna, ludzie wybiegali na balkony, wydawali tryumfalne okrzyki. Niełatwo ulegam wzruszeniom, ale w tym momencie

Próba sił:

Warszawskie Radio „Solidarność” kontra Służba Bezpieczeństwa 1982-89

miałem gardło ściśnięte i lzy w oczach. To była najpiękniejsza chwila w moim życiu” – wspominał w grudniu 1983 r. jeden z członków ekipy emitującej pierwszą audycję Radia „Solidarność”.

Druga audycja została wyemitowana 30 kwietnia. Niestety, z powodu awarii nadajnika udało się nadać ją jedynie częściowo. Po raz trzeci radio pojawiło się w eterze 3 maja. Od 9 maja do wypadki nadajnika wraz z obsługą 6 czerwca 1982 kolejne audycje były emitowane co tydzień. Później nadawano już rzadziej, w nieregularnych odstępach czasu. W związku z aresztowaniem Romaszewskiego (29 sierpnia) Radio „Solidarność” zamilkło na dłużej. Kolejną audycję wyemitowano dopiero 6 października 1982.

Sąd nad radiem

24 stycznia 1983 rozpoczął się proces działaczy Radia „Solidarność”. Przed Sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego stanęło dziewięć osób: Zbigniew Romaszewski, Zofia Romaszewska, Danuta Jadczyk, Marek Rasiński, Irena Rasińska, Zbigniew Pietrzak, Dariusz Rutkowski, Jacek Bąk i Anna Owczarska. Oskarżonym postawiono przede wszystkim zarzut „rozpowszechniania drogą radiową wiadomości fałszywych, mogących wywołać niepokój publiczny i rozruchy, a także nawoływania do przestępstwa w postaci oporu wobec ustaw i prawnych rozporządzeń władz państwowych”. Za „fałszywe wiadomości” uznano m.in. takie stwierdzenia, jak: „żyjemy w kraju, w którym toczy się wojna, którą władze wypowiedziały swemu narodowi” czy „działalność WRON obraca kraj w ruinę”.

Władze chwaliły się, że radio przestało istnieć, ale przedwcześnie. W pierwszym dniu procesu o godzinie 21.00 rozpoczęła się emisja kolejnej audycji. W eter popłynęły słowa: „W procesie Radia „Solidarność” odpowiadają przed Sądem Wojskowym najodważniejsi z odważnych – ci, którzy wzięli się targnąć na monopol informacyjny totalitarnej władzy. Wystąpili w obronie zagrożonego Związku, podeptanych Praw Człowieka i Obywatela. Nasz Związek został zdelegalizowany, ale Radio „Solidarność” żyje i działa nadal w obronie ideałów „Solidarności”, których zniszczyć się nie da”. Dalsza działalność radia była możliwa dzięki zaangażowaniu kolejnych osób: Macieja Kołaczkowskiego czy Krystyny Święckiej. Po aresztowaniu Zbigniewa Romaszewskiego radiem kierował Jerzy Jastrzębowski, używający konspiracyjnego pseudoni-

mu „Leszek”. 17 lutego 1983 Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w składzie Andrzej Łączyński (przewodniczący), Romuald Kotuszewski i Władysław Leszczyński (tawnicy) wydał wyrok w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zbigniew Romaszewski został skazany na 4 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności, jego żona na 3 lata, Rasiński na 2,5 roku, Rutkowski na 2 lata, Jadczyk i Bąk na 1,5 roku, Owczarska na 7 miesięcy, Pietrzak i Rasińska na 1,5 roku w zawieszeniu. (Po niespełna dziewięciu latach, we wrześniu 1991 r., wszyscy zostali uniewinnieni przez Sąd Najwyższy Rzeczypospolitej Polskiej.) Nowy rozdział w działalności radia zapoczątkowała ekipa pod kierownictwem Wojciecha Stawiszyńskiego. Nastąpiła wówczas profesjonalizacja działań w ramach trzech sekcji: 1) redakcji i studia nagrań (Elżbieta i Andrzej Gomuliński, Janusz Klekowski, Barbara Vertun, Adam Konopacki i inni); 2) grup odpowiedzialnych za emisje (Wojciech Skowron, Wanda Klinert); 3) produkcji nadajników (Janusz Radziejowski, Stanisław Rusinek, Kuba Fijałkowski, Waldemar Sałaciński, Paweł Mieszkowski, Mirosław Koziół). Pracami koordynacyjnymi kierował Grzegorz Buczek. Zespół ten stworzył później Program 1 Radia „Solidarność”.

Życie po życiu

Ogółem w 1983 r. „rozbite” radio nadało siedemnaście programów (w tym dwie na fonii TVP). Ze względu na bezpieczeństwo czas emisji nie przekraczał czterech minut, audycje nadawane były nieregularnie. Poprzedzały je akcje ulotkowe, z informacjami w rodzaju: „Radio „Solidarność” ponownie na antenie 31 marca, godz. 21.00. Prosimy nas słuchać na różnych częstotliwościach w paśmie UKF. W razie zagłuszania prosimy nie zniechęcać się, lecz pokrećć galką odbornika...”.

W tym miejscu trzeba przyznać, że zagłuszanie w sposób istotny ograniczało zasięg oddziaływania radia. Zespół Programu 1 Radia „Solidarność” zaczął jednak wykorzystywać nową generację nadajników „Berta”. Były one w stanie wygasić fonię Programu 2 TVP, dzięki czemu możliwa była emisja audycji radia. Widzów proszono o nieregulowanie odborników telewizyjnych, zalecając także odbiór audycji w odbornikach radiowych na falach UKF (w paśmie emitującym fonię telewizyjną). Rozwiązanie to znacznie zwiększało bezpieczeństwo osób odpowiedzialnych za emisję. Po pierwsze, audycje nie trze-

ba było już zapowiadać w ulotkach oraz podziemnej prasie. Nie można było ich też zagłuszyć ani namierzyć. Z drugiej jednak strony, powodowało to zawężenie kręgu odbiorców – audycje Radia „Solidarność” można było odbierać jedynie w promieniu kilkuset metrów od nadajnika. Poza tym ich odbiorcami stawały się wówczas przypadkowe osoby.

Konkurencja w eterze

W 1984 r. powstał Program 2 Radia „Solidarność” pod kierownictwem Andrzeja Fedorowicza. Jego zespół stanowili m.in.: Wojciech Nachiło (szef pierwszej grupy emiterów), Krzysztof Wolf (szef drugiej grupy emiterów), Maciej Kamiński (szef trzeciej grupy emiterów), Janusz Więckowski (szef czwartej grupy emiterów, odpowiedzialnej za emisje poza terenem Warszawy), Jan Strękowski (kierownik redakcji).

Program dysponował własnymi strukturami, w tym również zajmującymi się produkcją nadajników. Wykorzystywał nadajniki o mocy 40, 100, 300 i 600 W (ten ostatni nota bene został zbudowany przez tajnego współpracownika SB). Audycje Programu 2 Radia „Solidarność” rozpoczynały i kończyły się fragmentem Murów Jacka Kaczmarskiego (w pierwszych dwóch-trzech audycjach wykorzystywano fragmenty utworu Dvorzaka).

W 1985 r. został utworzony Program 3 Radia „Solidarność”, kierowany przez Andrzeja Gelberga, on też montował audycje. Andrzej Roman (dziennikarz sportowy) i Danuta Tomaszewska (informatyk) byli spikerami. Z redakcją współpracowali blisko dziennikarka Ewa Matuszewska oraz dorywco (od 1988 r.) Jacek Kurski, Wojciech Giełżyński i Robert Kozak. Początkowo Program 3 „jedynie” nagrywał audycje dla Programu 2, później także je emitował. Audycje najczęściej nadawali Wojciech Babicki i Andrzej Gelberg. Zespół ten również dysponował własną redakcją, grupą emisyjną i studiem nagrań. Jego specjalnością, obok emisji audycji o charakterze informacyjnym, było przygotowywanie specjalnych programów dla dzieci, wojska, milicji czy wybranych zakładów pracy. W maju 1987 r. jedna z audycji była w całości poświęcona problemowi degradacji środowiska naturalnego w Polsce. Z czasem radio starało się również dotrzeć do mieszkańców wsi. Na przykład w marcu 1988 roku apelowano do rolników z gminy Hów: „Jesteście środowiskiem rol-

wpadły tylko dwa. Pozostałe przetrwały do dziś.

14 w czerwca 1984 r. rozpoczęła działalność Radio „Solidarność” w Siedlcach. Jego organizatorem był Marek Aleksander Biały – przygotowywał miejsca, z których nadawane były pierwsze audycje, oraz samokasujące się kasety. Pierwsza audycja była poświęcona zbliżającym się wyborom do rad narodowych, wyemitowano ją na falach UKF. Radio nadało również na fonii I Programu TVP. Następne audycje przygotowywane były przez Tomasza Olko i Adama Patoletę, którzy współpracowali z Bożoną i Andrzejem Janiszewskimi z Białoteki. Radio siedleckie nadało ponad sto audycji, najczęściej na falach I Programu TVP.

W Białymstoku sporadycznie próbowano nadawać audycje radiowe, np. podczas spacerów w porze Dziennika TV, audycje odtwarzano z magnetofonów zawieszonych na drzewach. Próbowano również emisji napisów podczas programu telewizyjnego.

Nielegalny nadajnik radiowy działał krótko w Kolnie.

W 1984 r. nadano w Pruszkowie pierwszą audycję Radia „Solidarność”.

Według oceny władz partyjnych programy podziemnego radia były emitowane przez „urządzenia o bardzo niewielkim zasięgu terytorialnym [...]”. W 2-3 minuty od rozpoczęcia nadawania były one również skutecznie zagłuszane. Wyjątkiem jest przypadek w Poznaniu, gdzie organizatorom udało się wejść na falę I programu [TV].

SB nie tylko drukowało fałszywe numery podziemnych pism, podszywało się również pod Radio „Solidarność”. W ostatnich dniach kwietnia 1983 r. wyemitowało apel (rzekomego) Komitetu Organizacyjnego Obchodów 1 Maja NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze wzywający do odwołania manifestacji pierwszomajowych.

I tak już na marginesie, dla przypomnienia, 1 stycznia 1988 r. zaprzestano zagłuszania Radia Wolna Europa.

Inne inicjatywy:

14 września 1985 r. w Toruniu nadano pierwszą audycję telewizyjną. Przed wyborami do Sejmu, Jan Hanasz, zorganizował telewizyjną transmisję haseł antywyborczych (nadajnik zbudowali Zygmunt Turło i Eugeniusz Pazderski). Pierwsza audycja objęła swoim zasięgiem centrum Torunia, druga, nadana 27 września, skierowana była do największej dzielnicy miasta – Rubinkowa. Po jej zakończeniu J. Hanasz, Z.

Turło i Leszek Zalewski zostali aresztowani.

W ramach Duszpasterstwa Ludzi Pracy w Mistrzejowicach działała Niezależna Telewizja Mistrzejowice – prowadzona przez Macieja Szumowskiego. Telewizja rejestrowała działalność duszpasterstwa i ważne wydarzenia społeczne, m.in. strajk w Nowej Hucie.

We wrześniu 1986 r. z inicjatywy Mariana Terleckiego i bp. Tadeusza Gocłowskiego powołano (na nowo) Dział Dokumentacji Diecezjalnej i Pomocy Duszpasterskich – Video Studio Gdańsk. Terlecki został jego dyrektorem.

Studio utrzymywało się w znacznej mierze ze sprzedaży kaset własnej produkcji. (Wśród filmów zrealizowanych przez Video Studio Gdańsk jest zapis wizyty Jana Pawła II w Trójmieście, w 1987 r., oraz film dokumentalny o Stefanie Kisielewskim, wcześniej, po zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki, z inicjatywy Terleckiego oraz księży Pallotynów, powstał film Ksiądz Jerzy). W maju 1988 r. filmowcy Video Studio Gdańsk byli jedyną ekipą, która rejestrowała strajk w Stoczni Gdańskiej.

Oficyna Fonograficzna CDN powstała w ramach Wydawnictwa CDN i szybko stała się inicjatywą niezależną. Wydawała piosenki niezależnych twórców, a także kazania ks. J. Popiełuszki. Zespół tworzyli: J.K. Kelus, Jan Bartyś, Bogusław Babuła, Urszula Sikorska.

Realizacją nagrań na kasetach magnetofonowych i kasetach video zajmowała się „NOWA Kasetka” i „Video NOWA”.

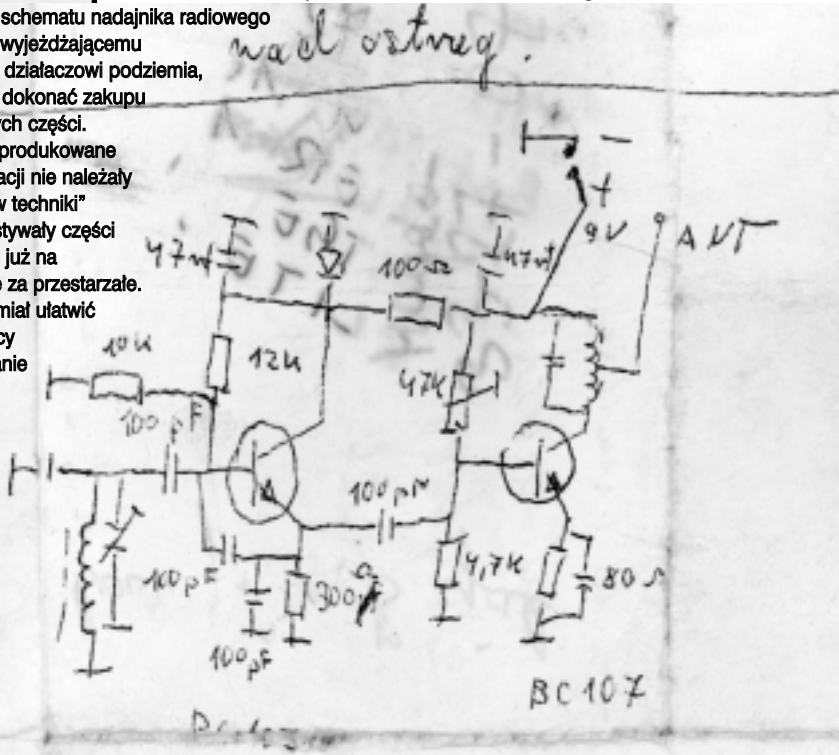
(Niektóre daty pierwszych emisji programów podziemnych mediów, są różne w różnych publikacjach – nawet tych, wydanych przez tego samego wydawcę – i nadal wymagają weryfikacji.)

Małgorzata Zaremba

CDN ze str. 5

niczym. Większość z Was uprawia ziemię, część pracuje w służbie rolnictwa, w Kółkach Rolniczych, w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Mimo że pracujecie na swojej ziemi – nie jesteście w pełni jej gospodarzami. Brak Wam organizacji naprawdę samorządowych. Nikt nie ochroni Waszych interesów. Władza administracyjna dba w istocie tylko o swoje dobro, a nie o Wasze. Często jesteście całkowicie bezsilni wobec jej poczynań. Aby temu zaradzić, trzeba tworzyć grupy oporu społecznego. W Gminie Ilów była „Solidarność”

Fragment schematu nadajnika radiowego wręczony wyjeżdżającemu do Francji działaczowi podziemia, który miał dokonać zakupu niezbędnych części. Nadajniki produkowane w konspiracji nie należały do „cudów techniki” i wykorzystywały części uznawane już na Zachodzie za przestarzałe. Schemat miał ułatwić sprzedawcy dopasowanie części.



Rolników Indywidualnych. Co się z nią stało? Gdzie są ci, którzy byli kiedyś członkami „Solidarności”? Boją się działać. Dlaczego? Brakuje właśnie odwagi. Zachęcamy Was do niej”. Ze specjalnie przygotowanymi audycjami wyjeżdżano do innych miast – Gdańska, Jastrzębia, Lublina.

RADIO Solidarności
20.X.83
UKF 19.30

Oczywiście warszawskie Radio „Solidarność” nie ograniczało się do nadawania na terenie stolicy i gościnnych audycji na terenie innych województw. Jego audycje były emitowane również w miejscowościach podwarszawskich, np. od 30 sierpnia 1983 można je było usłyszeć na tere-

nie Pruszkowa i Grodziska Mazowieckiego.

Niespodzianki

Chyba najciekawszą audycję Radio „Solidarność” nadało za pomocą gigantofonów w Sylwestra 1982 r. dla... osób osadzonych w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej (w tym dla aresztowanych członków radia). Należała ona do najgłośniejszych audycji, obok programu wyemitowanego 1 sierpnia 1982 na Powązkach z okazji rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, nota bene opracowanego i nadanego przez zespół nie związany z radiem. Dwie głośnie audycje uliczne wyemitował również Program 2 Radia „Solidarność”.

ka Telewizyjnego”, wieczornych filmów lub meczów piłkarskich (np. 12 czerwca 1984 podczas meczu Francja-Dania, 24 października 1984 w czasie spotkania Widzew – Borussia).

W audycjach Radia „Solidarność” pojawiali się nieraz, jako goście lub bohaterowie, przedstawiciele podziemnych struktur, nie zawsze związani z jego zapleczem. Audycja z 20 lipca 1983 była w całości poświęcona Jackowi Kuroniowi. Z kolei 19 sierpnia 1984 na antenie radia omawiany był rozpoczynający się wówczas proces działaczy Komitetu Obrony Robotników: Adama Michnika, Henryka Wujca, Jacka Kuronia i Zbigniewa Romaszewskiego. Użyczano anteny działaczom Tymczasowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” Huty Warszawa (16 marca 1987), Ruchowi Politycznemu „Wyzwolenie” (13 czerwca 1987) czy Ruchowi „Wolność i Pokój” (28 września 1987).

Na zakończenie

Ostatnia audycja Radia „Solidarność” w dotychczasowej formule została nadana 22 czerwca 1989. Wspominano w niej: „Niestety, trudno dziś wymienić wszystkich, którzy współredagowali, współtworzyli, współpracowali. Ale najtrudniej jest odtworzyć teraz, po latach, napięcie i zwykły strach, jaki oblatywał nas zawsze, kiedy z nadajnikiem w torbie, z kompletem kaset szło się wieczorem na robotę albo jak nagle znajomy partyjniak identyfikował głos któregoś ze spikerów. Wybijał się wówczas na szczyty sztuki aktorskiej zachowując obojętność lub okazując zdawkowe zdziwienie. I praca szła dalej. Przez siedem lat prawie każdy weekend upływał na mozolnym układaniu tekstów, nagrywaniu, rozprowadzaniu, nadawaniu i tak w kółko...”

Co ciekawe, kilka miesięcy przed zakończeniem działalności Radio „Solidarność” przeprowadziło nawet telefoniczny sondaż na swój temat. W dniach 21 lutego – 19 marca 1989 odebrano 139 telefonów od radiosłuchaczy. Łącznie zebrano 115 opinii pozytywnych, przy jedynie 17 negatywnych, pozostałe 7 zawierało propozycje zmiany godzin nadawania oraz form przedstawiania własnych racji. Tak pozytywna ocena wydaje się dziś w pełni zasłużona. Niezwykle trafna bowiem wydaje się opinia wyrażona w jednej z ostatnich audycji Radia „Solidarność”, wyemitowanej 14 czerwca 1989 w Radomiu: „Sygnał, który Państwo słyszeli, znany jest słuchaczom radia i telewizji w Warszawie i kilku innych miastach. [...] W ponurych czasach stanu wojennego i w latach, które po nim nastąpiły, był on dla wielu ludzi jednym z nielicznych promyków nadziei, symbolem trwania i walki naszego Związku”.

Grzegorz Majchrzak

Fragment tekstu, który ukazał się w roczniku „Z Dziejów Polskiej Radiofonii” 2005/2006. Skróty i podtytuły – od red.

O „Maszy” i bibule

Byłam na pierwszym roku filologii polskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W styczniu 1980, po ślubie, znalazłam się z mężem we „własnym” mieszkaniu. Pojawili się nowi znajomi – mieszkali niedaleko i spotykaliśmy się w drodze na uczelnię. Wkrótce przyszli w odwiedziny. Koleżanka z roku, Jadwiga Kozicka, spytała mnie, czy jej brat Zygmunt nie mógłby zostawić u mnie czasem takiej małej paczuszki na przechowanie. Zgodziłam się.

Zanim zdałam na studia zetknęłam się już z osobami zajmującymi się wydawaniem „bibuły”. Najpierw nieświadomie. W końcu lat 70. w klasie maturalnej duża grupa uczniów z mojego liceum – II LO im. Jana Zamoyskiego w Lublinie – niemal każdego dnia po lekcjach przesiadywała w „Maszy”, lubelskim klubie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. I nie działało się tak z miłości do Związku Radzieckiego, ale z powodu bardzo wygodnych foteli, taniej i dobrej herbaty oraz dużego wyboru prasy w prowadzonej tam czytelnicy. Poza tym – „Masza” była w Śródmieściu.

Nie byliśmy jedynymi gośćmi klubu. Ściągali tam uczniowie wszystkich okolicznych szkół średnich, zaglądali studenci.

Pewnego dnia „Maszę” zamknęto. Dopytujących się bywalców zatrudnione tam panie informowały w zaufaniu, że to z powodu grupy narkomanów, która pojawiła się w klubie. Potem wydawano imienne karty wstępu. W latach 90. okazało się, że prawdziwym powodem tych represji było pojawienie się w „Maszy” grupy redaktorów „Spotkań”.

Potem widywałam takich ludzi przy różnych okazjach, chyba głównie dlatego, że pisałam wiersze i uczestniczyłam w różnych formach legalnych działań środowisk twórczych. Bardziej był to kontakt z ludźmi niż z „bibułą”. Nie miałam potrzeby uzupełniania wiedzy historycznej. W domu rodzinnym ojciec-oficer AK bardzo dbał o przekazywanie prawdy o wydarzeniach historii najnowszej.

„Podziemni” redaktorzy stanowili dość malowniczą i widoczną grupę żyjącą swoimi kłopotami z ubekami, przesłuchaniami i spotkaniami w gronie znajomych. Chyba już od jakiegoś czasu wiedziałam, że brat koleżanki należy do tego środowiska. Może nawet wcześniej o tym rozmawialiśmy, ponieważ nawet nie spytałam o zawartość tej paczuski.

Zaraz potem w moim mieszkaniu pojawił się Zygmunt. Mam wrażenie, że od razu się umówiliśmy – za kilka dni miał czekać u nas, aż ktoś mu coś

przywiezie. Po tych kilku dniach pod blok podjechał samochód na warszawskich rejestracjach i dwóch młodych mężczyzn przeniosło do windy i wwozilo do domu kilka papierowych worków wypełnionych książkami i pismami. Dla porządku na każdym worku czarnym flamastrem wypisane były tytuły lub nazwiska autorów. Na pierwszy rzut oka widać było, że to zakazane. Trochę mnie to zaniepokoiło – mieszkaliśmy tam od niedawna i nie wiedziałam, kim są nasi sąsiedzi.

Od tej pory scena się powtarzała dość systematycznie. Każdy transport – jak się okazało na całe ówczesne województwo lubelskie – trzeba było gdzieś ukryć. Tak, żeby przypadkowy gość nic nie zauważył. Książki układało się w szafach, za drzwiami, w skrzyni wersalki. Były wszędzie. Zygmunt zabierał je małymi partiami, czasem przyprowadzał ze sobą kogoś, kto odbierał zamówioną „bibułę”, na przykład do Zamościa.

To trwało chyba do sierpnia-wrzesnia 1980 r., kiedy powstała „Solidarność” i wszystko zaczęło się przenosić do oficjalnej siedziby Regionu Środkowowschodniego. A może jednak dłużej – czas zatarł to wspomnienie, ponieważ w tym czasie urodziłam dziecko i byłam skoncentrowana na czym innym, trochę z dala od wszystkiego, co się działo. Więc może nie od razu wszystko zostało ujawnione – pamiętam, że pewnego razu oswojeni z moim domem goście z Warszawy przyjechali w zupełnie innym terminie i zastali u mnie tylko babcię zajmującą się dzieckiem. Spytała ją – tak jak było umówione – czy mieszka tu Zygmunt i, nie czekając na odpowiedź, wnieśli do mieszkania kilka worków z „bibułą”. Babcia nie protestowała, ale po moim powrocie do domu nie kryła zaskoczenia. Wolała o niczym nie wiedzieć.

Znajomość z Kozickimi zacieśniała się, niemal o każdej porze dnia bywaliśmy u siebie. Zygmunt często wpadał prawie w nocy w drodze z „pewnego miejsca” lub w „pewne miejsce” i opowiadał o lubelskich nowinkach. W kuchni u Kozickich pojawiali się ciągle nowi ludzie, często spoza Lublina, z innych regionów Polski.

I tak aż do 13 grudnia 1981 r.

Rano w mediach Jaruzelski strząsnął dekretem, karą śmierci, i podawał informacje o internowaniach. Natychmiast pobiegłam do Kozickich. W kuchni było pełno – ludzie wchodzili i wychodzili. Opowiadano szczegóły o zatrzymaniu Zygmunta. Przychodzący mówili o innych zatrzymanych. Pomimo wyłączenia telefonów wieści rozchodziły się błyskawicz-

nie. Wszyscy już wiedzieli o strajku okupacyjnym w największych zakładach pracy Lublina. Tam zobaczyłam pierwsze „wojenne” numery „Biuletynu Informacyjnego” ZR Środkowowschodniego NSZZ „Solidarność” wydane na terenie strajkujących fabryk.

Z wznowieniem druku były problemy. Pozamykano drukarzy. Poza tym w chwili wprowadzenia stanu wojennego ubecy zarekwirowali prawie cały sprzęt drukarski. Wszystko wzięli. Podobno jeździli do różnych domów i wskazywali miejsca, gdzie był przechowywany. Coś jednak ocalało i drukiem zajął się ukrywający się w całości zespół teatralny „Provisorium”. Kolejne numery trafiały do kuchni u Kozickich. Tworzyła się nowa sieć kolportażu.

Byli to już nowi ludzie. Z „Solidarności” i ze strajkujących fabryk, ale także z różnych uczelni. Początkowo każdy brał po kilka-kilkanaście egzemplarzy informatora. Potem nakład rósł. Aż do aresztowania całej grupy z „Provisorium”. Zgubiła ich rutyna.

Znów powstała próżnia, ale nie na długo. Informator wkrótce się pojawił, tylko nie mówiło się tyle o tym, kto go wydaje. Dopiero po jakimś czasie w kuchni u Kozickich spotkałam nowego drukarza, pana Jana Magierskiego. Miał ręce ze śladami farby drukarskiej, której po prostu nie można było domyć.

Kuchnia u Kozickich opustoszała po kolejnych aresztowaniach w gronie ich bliskich. Było zbyt niebezpiecznie. Zresztą – chyba w całym „podziemnym” świecie nastąpiła stagnacja. Ludzie zaczęli się zajmować własnymi sprawami, zatrzymywani coraz częściej decydowali się na emigrację. Przez całe wakacje nikt nie odebrał ode mnie informatora przeznaczony dla Stalowej Woli – rzyć po ryzie układałam w łóżecku dziecka, a potem musiałam wyrzucić, ponieważ pojawiło się zagrożenie rewizją.

Po jakimś czasie spotkałam na ulicy człowieka poznanego w kuchni u Kozickich. Wrócił z Wrocławia i był zachwycony ideą Solidarności Walczącej. Zaproponował mi pisanie artykułów do organizowanego przez niego biuletynu SW. Zgodziłam się. Przez kilka lat podpisywałam się „Jan Miller”, a potem trzema krzyżkami, które czasem wychodziły drukarzem jako trzy plusy.

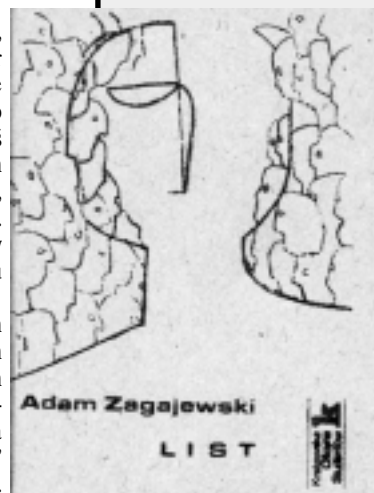
Anna Grażyna Kister

„Pelikan” i ramka

Jak powstała krakowska poligrafia? Dziś wielu kojarzy ją z nazwiskami Lesława Maleszki i Henryka Karkoszy. Jednak to nie oni byli jej twórcami, choć prawie od początku uczestniczyli w tych przedsięwzięciach.

W odwiecznej rywalizacji stolic o pierwszeństwo, Warszawy i Krakowa, w tym przypadku pierwsza była Warszawa. Tu bowiem, jak mówi twórca krakowskiej poligrafii, Andrzej Mietkowski, był jej początek. W kwietniu 1978 r. wraz z Ziemowitem Pochitonowem przyjechali do Warszawy na szkolenie, zorganizowane w mieszkaniu Ewy Milewicz przez szefa NOWEJ, Mirosława Chojeckiego i Sławomira Kretkowskiego, sąsiada Ewy Milewicz, tak jak ona zaangażowanego w niezależną poligrafię. Szkolenie było na ramce powielaczowej, a polegało na dodrukowywaniu brakującej strony do robionego przez NOWĄ „Zapisu”, która przepadła podczas ukrywania wydruków przed bezpieką.

Po szkoleniu dostali kilka matryc, wałek i wrócili do Krakowa. Wtedy nie mieli już wyjścia. Musieli coś zacząć wydawać. Ten sprzęt umożliwił im uruchomienie pisma „Sygnał”. Było to w maju 1978 r. Pierwszy numer wydrukowali Mietkowski z Pochitonowem, a treścią wypełnił go Maleszka. Ciekawostką jest, że SKS krakowski od paru miesięcy miał już podarowany przez kogoś przedwojenny niemiecki powielacz marki „Pelikan”, ale nikt nie potrafił go uruchomić. Po szkoleniu jednak okazało się, że sprzęt ten niewiele różnił się



od przywiezionej ramki i po uzupełnieniu o szyfon także on nadawał się do użytku. Inną ciekawostką jest, że świadkiem druku pierwszego numeru „Sygnału”, który odbywał się w mieszkaniu Pochitonowa, był ksiądz Adam Boniecki, obecny red. naczelny „Tygodnika Powszechnego”, który mieszkał piętro niżej i zaglądał od czasu do czasu do drukujących. Jak wspomina Andrzej Mietkowski – „łapiąc się za głowę” na widok nielegalnych zajęć jego sąsiadów. Ale udało się.

Jesienią tego samego roku pojawiła się też w Krakowie pierwsza książka podziemna. Była to wydrukowana w listopadzie 1978 r., na 60-lecie odzyskania niepodległości, praca Leszka Moczulskiego „Odrodzenie Rzeczypospolitej”. Wydawca – Krakowska Oficyna Studentów. Nazwę wymyślił Mietkowski z Pochitonowem. A okładkę do tej książki robił Karkosza. Potem pojawiły się inne tytuły, jak wydawany na AGH przez Roberta Kaczmarka „Merkuryusz Krakowski i Światowy”, czy studencki „Indeks”.

Zaczęły się też problemy – dziś znamy już ich przyczyny – w wyniku których Andrzej Mietkowski wycofał się z prowadzenia krakowskiej poligrafii.

Jan Strękowski

KOR na prowincji

CDN ze str. 1

swobody interpretuje i pozoruje władza i jaką część tradycji ta władza narzuca. Zajęliśmy się konkretem, pojedynczym człowiekiem, który do nas trafiał, jego pozorną bezradnością i zatomiastnieniem.

W 1977 r. zaczęła w naszym kręgu ukazywać się „Kronika Łódzka”, redagowana przez Mirosława Michalika i Elżbietę Lewińską. To ona zamieściła tam artykuł z wezwaniem, by zamienić plotkę w informację. Tekst ten przedstawiał rację, dla których nie wystarczy powtarzać szeptem rozmaite pogłoski, trzeba choćby ruszyć ich śladem próbując ustalić, jak świadek lub reporter, czy i co się zdarzyło. Znowu słowo zaczynało mieć swą moc, jeśli tak mogło znaczyć tak, a nie – nie. Apel E. Lewińskiej wkrótce przyniósł ponure dochodzenie, w rezultacie którego powstał społeczny akt oskarżenia sporządzony przez red. Jana Walca, zarzucający wymienionym z nazwiska funkcjonariuszom jednej z komend dzielnicowych MO w Łodzi śmierć kolejnych zatrzymanych w tamtejszym areszcie, a zwierzchnikom tych milicjantów – tolerowanie bezprawia. W dodatku większość ustaleń zacerpneliśmy z dokumentów prokuratury, która każdorazowo umarzała postępowanie, oceniając sprawców, jako ludzi niewinnych, a zgony – jako nieszczęśliwe wypadki. Wkrótce zaczęli się zgłaszać do nas inni, np. ZBOWID-owcy z Drużbic pod Belchatowem, którym milicjanci zabili przewodniczącego, a nawet oficer z tej samej komendy, którego w niej pobito tak, że doznał złamań, a potem zawału.

Trafiliśmy też na żywe przypadki nadużywania psychiatrii przez prokuraturę i broniąc represjonowanego tak rozgłosiliśmy sprawę, że zarząd Tow. Psychiatrycznego przybył do nas z propozycją składania tego rodzaju spraw w ich rękach i obietnicą skutecznego sprzeciwu wobec nadużywania psychiatrii, jako politycznego lekarstwa i środka pacyfikacyjnego.

SB kwalifikowała nas eufemistycznie jako „negatywnie aktywnych politycznie”, ale nie powodowało to odpływu, raczej przybywało nas i zadań.

Niezależne instytucje

W roku 1978 i 1979 nie wyczerpaliśmy własnej energii. Nie ulegliśmy atomizacji czy samozniszczeniu, ale przeszliśmy niepostrzeżenie na instytucjonalizację obsługi tego coraz liczniejszego

ruchu. Tomasz Filipczak z całą swą rodziną niebywale rozwinął kolportaż, a także sekretarował redakcji „Pulsu”. Dr Mirosław Michalik z Zenobią Łukasiewicz rozkręcili tutejsze biuro interwencji. Krzysztof Woźniak kręgi harcerskie, Wojciech Jeśman, a po nim zwłaszcza Janusz Hetman, serigrafie i ruch wydawniczy. Elżbieta Donbach, a po niej inni /Wojciech Jeśman/, rozkręcili wykłady TKN. Wojciech Hempel miał monopol projektów plakatów i szaty graficznej książek

i czasopism, w każdym razie ich okładki, ja sam – kierowałem drukarniami i przede wszystkim kontaktami ze środowiskami pracowniczymi w Łodzi i szerzej – w Polsce. Skoro piszę o tym dodajmy, że nie miałbym czym kierować, gdybym nie trafił na niezawodnych całym latami drukarzy: Huberta i Jolantę Chlebowskich, Antoniego Balcerskiego, Zbigniewa i Ewę Łakomy, Irenę Bazel i Włodzimierza Smoczyńskiego, na koniec – Janusza Hetmana, Wojciecha Grzelaka, Krzysztofa Nowaka i Mirka Królikowskiego. Także oddanych introligatorów Romana i Joannę Bosakowskich.

Ewa i Jacek Bierezinowie, Witold Sułkowski, fotografik Bartosz Pietrzak i inni poświęcali się „Pulsowi” i życiu kulturalnemu. Młodym absolwentom humanistyki coraz bardziej przewodziła czy kierowała ich dyskusjami Kinga Dunin – introligator. W doraźnych

interwencjach nie miała sobie równych p. Jadwiga Szczęsna, zawodowy administrator budynków, a maszynopisaniem i innymi resortami kierowała dyskretnie za to nader skutecznie p. Irena Bazel, pracownik administracji służby zdrowia. Rozeznania w rezonansie jaki uzyskujemy w łódzkiej centrali SB dostarczał nam p. RT, emerytowany dyrektor, zrazem Sybirak.

Ten podział instytucjonalny poszerzał się, rosła specjalizacja, ale nawet nasz team kierowniczy nie miał szefa. Tylko dwaj nasi koledzy, z którymi szliśmy od początku lat 70., krytyk literacki Konrad Tatarowski i filozof dr Wiktor Niedźwiedzki, nie kierowali żadnym re-

sortem, ale uważałem wówczas, podobnie zresztą w przypadku Damy, jak nazywaliśmy doc. Jadwigę Lipską, że we wszystkich najważniejszych rozterkach trzeba wpieryć wysłuchać, co o tym sądzą, i jest to często ważniejsze od konkretnych działań.

Kręgi KOR-u liczyły, i wg nas samych, i wg SB ok. 120 – 200 uczestników i były bodaj najliczniejszą tu opozycją od końca 1976 do końca 1980 r. Z pewną przesadą można by powiedzieć, że tworzyliśmy wówczas minipaństwo podziemne bez wymiaru sprawiedliwości i siły zbrojnej.

Łódzka specyfika

KOR w Łodzi powstawał inaczej niż w stolicy i różnił się od warszawskiego biograficznie, a także w jakiejś mierze pokoleniowo. Łódź nie miała mocnych tradycji konspiracji. Była też próżnią po dawnych orientacjach politycznych, których szczytąk w Warszawie. Nie mieliśmy też za sobą tradycji myślowej, jaką miała młodzież Krakowa, mniej ważne czy personalistycznej, czy fenomenologicznej, ważne natomiast, że całkowicie niezależnej od oficjalnego monopolu, podtrzymującej przestrzeń dyskursu.

Łódzki KOR był zdecydowanie jednopokoleniowy, starsi – jak doc. J. Lipska, p. J. Szczęsna czy Ewa Sułkowska – Bierezin i kilka innych osób stanowili wśród nas wyjątek. Łódzki KOR nie był oparty na salonach, choć istotnie powstał w salonie Jacka i Ewy Bierezinów.

Wszyscy niemal jego działacze mieli ciasne mieszkania niesprzyjające większym spotkaniom, np. publicznym odczytom albo nie mieli mieszkań zupełnie. To dotyczyło zwłaszcza młodych hippies w pierwszym okresie wzrostu kadrowego nader licznych, choć nieomal anonimowych wśród nas. Łączyła nas sądzę wspólna potrzeba wolności, ale niewielu z nich zostało z nami, wielu poszło swymi kontrkulturowymi drogami.

Łódzki KOR nie miał rodzinnych powiązań z władzą, aparatem, z kręgiem lepiej wtajemniczonych obywateli, trudniejszą też miał drogę do niedozwolonych lektur i kontaktów z szerszym świa-

tem. Nie miał długi czas szerszego zaplecza w starej inteligencji dobrze pamiętającej miniony świat z przed narodzin PRL, miał za to sporo dobrych kontaktów literackich i pewien zasób niedozwolonych lub niewznawianych dzieł Gombrowicza, Witkacego, Miłosza, Wittlina, Hemara, Wierzyńskiego, Lechonia, Józefa Mackiewicza, Vincenza, Stempowskiego, Wata czy choćby Broniewskiego w sowieckim więzieniu. Witold Sułkowski sam mówił Gombrem, jak Warszawa mówiła Szpotem.

Miała Łódź najbliżej do robotników, ale ta droga wcale nie była najkrótszą i najłatwiejszą, a robotnicy łódzcy najbardziej wyrobionymi politycznie (potencjalnymi) działaczami. Z istniejących środowisk opozycyjnych wobec PRL istniała w Łodzi szczątkowa, jednoosobowa nieomal grupa po Związku Młodych Demokratów Karola Głogowskiego i nie bardzo skonsolidowana grupa z niedawnego „Ruchu”, stopniowo powracająca do codzienności PRL po wyjściu z więzienia pomiędzy rokiem 1971 a 1974. Nie mieliśmy wreszcie zamożnych rodziców, ani szczodrych łodzian, by móc samodzielnie finansowo prowadzić to, co zamierzaliśmy. Pamiętam, że początkowo materialnie pomogli robotnikom filozofowie z UL, a największej wpłaty dla KSS „KOR” dokonał w 1979 lub 1980 r. pewien profesor Politechniki Łódzkiej, który otrzymał nagrodę państwa.

Piszę o tym zdając sobie sprawę, że nasza praca nie była siwym na ogurze, ale też nie była ziarnem padającym w naturalnie żyzną glebę. Udało nam się animować wiele kręgów. Jedne gotowe były występować w obronie ludzi, praw, imponderabiliów. Inne chciały czytać, kolportować, kształcić się. Jeszcze inne odzyskać kraj i swobody, godność i pamięć, nieiluzoryczne poczucie, że żyjemy w naszym kraju, a nie radzieckim skansenie z szyldem PRL.

Bez periodyków: „Biuletynu Informacyjnego” (do którego załączony był „Komunikat” KOR/ „Robotnika”, „Kroniki Łódzkiej” etc. nie daliśmy rady rozwijać się licznie i docierać do nowych kręgów. Ponieważ jednak tej bibuły mieliśmy za mało, od początku niemal drukowaliśmy ją w Łodzi – np. „Robotnik” miał tu ok. 4 tys. dodruku, którym dzieliliśmy się z Wybrzeżem, Radomiem, Śląskiem czy później – Krakowem.

Stosunkowo duża moc druku nie sprawiła otwarcia samodzielnego wydawnictwa, co należało zapisać po stronie tego, co się nie udało. Zdołaliśmy jedynie wydać okazjonalnie parę książek,



parę innych przygotować. Nie w pełni wykorzystaliśmy tę relatywnie dużą moc przerobową naszej poligrafii. Czasem wspomagaliśmy drukiem lubelskie „Spotkania” oraz nowopowstały KPN, także druk sitowy plakatów i afiszy czy ulotek antywyborczych /marzec 1980/. Dzięki mocom naszej małej poligrafii nietrudno było przeprowadzić dużą akcję informacyjną o bezprawiu w komendzie MO czy zawiadomić o Mszy katyńskiej z początkiem kwietnia 1980 r., na którą łodzianie przybyli bardzo licznie.

Ku regionalnemu komitetowi samoobrony społecznej

Bodaj w 1978 r. pod wpływem apeli p. Leona Prohaski, podjąłem próbę współpracy z kolegami z kręgu ROP-CiO, m. in. Danutą Orłowską, Władysławem Barańskim, Zbigniewem Siemińskim, Leszkiem Witkowskim, Edmundem Gasiem, Mirosławem Kimnsem, Markiem Chwalewskim, Walentym Jakobsonem i innymi osobami poznanymi podczas spotkań dyskusyjnych w lokalu Benedykta Czumy, ale też z kręgu ks. Bogdana Papiernika i „naszego” ks. Mieczysława Łabiaka, a nawet PAX-u /Antoni Chyliński/. Myśleliśmy o powstaniu w Łodzi regionalnego komitetu samoobrony społecznej. Proroczo wyprosililiśmy jedynie z naszego grona socjologa Andrzeja Mazura, tego samego, o którym pisze się teraz TW „Wacław”, gdy zjawiał się kiedyś znieznaka z misją formowania ośrodka krystalizacji ideowo-politycznej, a my byliśmy zajęci ludzkimi dramatami w milicyjnych aresztach i „dołkach”.

Z czasem takie zebrania przerodziły się w dość rytmiczną wspólną pracę, a na liderów tej nowej inicjatywy wyrostali szybko Leszek Witkowski z ROP-CiO i Anna Saciuk z kręgu najbliższego „Pulsowi”. Sama inicjatywa, paradoksalnie, nie została powołana formalnie dlatego, że mieliśmy tak dużo wspólnej pracy, że nie mieliśmy czasu, by ją sformalizować. Witkowski założył np. pierwszą publiczną bibliotekę samizdatu im. Stanisława Piłsusa, ze Sławomirem Owsiejczukiem /KPN/ i Stanisławem Szwarockim malowaliśmy wspólnie Tarnobrzeg i Grudziądz, by bronić skazywanych tam w sądach ludzi /Jana Kozłowskiego i Edmunda Zadrożyńskiego/, w podobnej sprawie wspólnie siedzieliśmy z Danutą Orłowską /KPN/ w KWMO w Piotrkowie Trybunalskim/. Doświadczenie tych lat, samodzielne i wspólne w gronie opozycji antysystemowej możemy oddać parafrazą słów Józefa Piłsudskiego, iż podmiotowości się nie dostaje – podmiotowość się bierze. Takie wiano, zweryfikowane w latach 70. i w stanie wojennym, zarazem służy za dobrą busolę i nieliczne obciążenie. Nasuwa myśl, że to raczej rzeczywistość powinna się dostosować do nas, niż my do rzeczywistości, bo to my ją kształtujemy.

Józef Śreniowski
Okładki zaprojektował
Wojciech Hempel

TAK – TAK, NIE – NIE

Wydane z końcem 2005 r. prace opisują ludzi i zdarzenia odległe w czasie o lat kilkadziesiąt. W przypadku książki J. Chańki i Zb. Onufrzaka o lat 50, w przypadku „Kartek Trautmana” – o prawie ćwierćwiecze.

Wśród kilkunastu organizacji opisywanych przez Chańkę i Onufrzaka zwracają uwagę te, które w apogeum lat stalinowskich wybiły się nie tylko na ulotki i odezwy, ale i na czasopismo. Taką organizacją młodzieżową powstałą po delegalizacji harcerstwa, była Młoda Polska. Zawiązała ją i nią kierował Włodzimierz Zygier i w tym kręgu wydawana była „Iskra”, którą zlikwidowano wraz z aresztowaniami całej organizacji (ok. 30 osób). Autorzy reprodukcją kilka kart z tego pisma pokazując, że miało ono poważne teksty, publikowało wiersze czy słowa piosenek, a także rysunki satyryczne komentujące czasy, w których Młoda Polska podjęła obronę przed indoktrynacją. Jeden z rysunków przedstawia dorosłego, prowadzącego za rękę pierwszoklasistę z tornistrem. Dziecko mówi: „Tato, jak dowiedzieli się w szkole, że ty jesteś burżujem z pochodzenia, to mnie zaraz wyrzucą” – i dodaje: „...jeśli spotka nas ktoś ze szkoły to powiem, że mnie zaczepiłeś...”. Rysunki robił Kazimierz Klamut, wcześniej /do 1949/ i później /po 1956/ działacz harcerski.

Trudno się zorientować co do techniki amatorskiego druku „Iskry”, a pewnie i sam fenomen ówczesnej wolnej prasy wart jest dalszego zainteresowania. Mnie nasuwa się myśl o tym, że wolne słowo z lat dawniejszych i z czasów opozycji demokratycznej i stanu wojennego wymaga skrupulatnego zeskanowania i udostępnienia w postaci zdigitalizowanej. Jeśli chodzi o dawniejsze i zupełnie niedostępne tytuły czy egzemplarze najbardziej unikalne warto się z tym spieszyć, zanim odejdą ci, którzy je tworzyli i którzy zwykle odsiedzieli je w stalinowskich kryminalach. Dopiero wówczas można będzie kompetentnie mówić o tym zjawisku. Przy niedostępności materiałów wydaje się, że wolne słowo skończyło się w Polsce w latach 1945 czy 1948, a narodziło z popiołów gdzieś od 1976/77. Tymczasem rzecz się ma inaczej, choć trudno przypuszczać, by prasa podziemna między 1949 a 1976 r. miała szeroką publiczność i duży rezonans. Jak każde zjawisko nieznanne wydają się takie publikacje ciekawe i bez wątpliwości należą do bibuły.

Książka Domagalskiego o samym początku „Solidarności” w Łodzi wydaje się ważna nie z tej racji, że opisuje krótko epizod powstania wolnego słowa związkowego pomiędzy wrześniem a listopadem 1980 r. Jest to pierwsza rzetelna, z dnia na dzień i krok po kroku, niehagiograficzna rekonstrukcja zdarzeń uruchamiających erupcję masowego ruchu w przemysłowym mieście i regionie. Autor zgromadził i podał krytyce szereg źródeł związkowych, policyjnych i partyjnych, a także prasę. Korzystał przy tym z kilkunastu relacji ustnych, traktując je równoprawnie z innymi źródłami historycznymi.

W książce przewija się też, zarówno w chwili narodzin Związku, jak w epizodzie tworzenia się jego prasy, wątek agenturalnej manipulacji trochę już poznany dzięki teczkom pracownitego współpracownika bezpieki, socjologa Andrzeja Mazura /patrz: Więź 02/2006/. Działacz ten, aktywny jako doradca przy negocjacjach i zawarciu porozumienia między MKS i Marianem Jurczykiem a tow. Barcikowskim, próbował z poparciem mocodawców

z centrali MSW i szefa pionu politycznego łódzkiej SB rozgrywki dzielącej przyszłą „Solidarność” na związek Jagielskiego i związek Barcikowskiego, w zamierzeniu znacznie bardziej spolegliwy wobec władz, robotniczy i niekonfrontacyjny /o nazwie „Jedność” bardzo trafnej skądinąd dla działalności rozłamowej/. Próba ta pozostała jednak poza sferą możliwości socjotechnicznych MSW, Partii i samego Mazura, mimo jego perfidii i zręczności, i potencjalni frondyści zawiązali wraz z Gdańskiem i resztą Polski jeden NSZZ, 17 września 1980 r., przyjmując nazwę „Solidarność”.

Nie wiem czy oficjalne komunikaty i biuletyn(y) związkowe można zaliczać do świata wolnego słowa, czy też organom prasowym Związku przysługuje to miano w mniejszym stopniu,

w każdym razie Domagalski opisuje pojawienie się w Łodzi solidarnościowych pism, „Solidarności Ziemi Łódzkiej”, „Jedności” i „Solidarności z Gdańskiem”, a także pierwszych ulotek, afiszy i odezwy począwszy od tytułowych kartek Trautmana, motorniczego, który je rozrzucił w zajezdni 26 lipca 1980 r. i uruchomił nimi lawinę strajkową.

Czytając rozprawkę Domagalskiego nasuwa się na myśl fenomen trwałości rozmaitych wersji interpretacyjnych, także tych wysmażonych w partyjnych komitetach i redakcjach oraz rozpowszechnianych przez policję polityczną PRL. Nawet i dziś historykowi trudno się przebić przez te stereotypy, zdemaskować je od A do Z, i odfiltrować z relacji i dokumentów to, co nie odnosi się do zdarzeń, tylko kreuje ich interpretację. Autor wychodzi z tej próby obronną ręką i – co trzeba podkreślić – nie daje się zbić z tropu śledząc to co się działo, a nie to, co o tym mówiono, szeptano, rozpowszechniano czy stanowiono w komendach i komitetach PZPR.

Recenzent podziela jego pogląd, że w masowym ruchu, w ulicznej rewolucji, która jak epidemia ogarnia cały kraj, rola agentury jest mizerna. Takie ziarno nieprędko wschodzi, raczej samo nie ma mocy dezintegrującej, chyba gdy pada na jakiś fragment podatnego gruntu. Może jednak niewczyść po części ten powrót do dwuwartościowego języka: „tak-tak, nie-nie”, charakterystyczny dla pierwszej „Solidarności”.

Józef Śreniowski

Jan Chańko, Zbigniew Onufrzak, Z dziejów konspiracji młodzieżowych w Łodzi 1948-1953, Łódź 2005
Włodzimierz Domagalski, Kartki Trautmana. Strajk w MPK i powstanie łódzkiej „Solidarności”, Łódź 2005

pracował społecznie, przez wiele lat w berlińskim. Po 1989 r. został członkiem Związku, uzyskał uprawnienia kombatanckie i emerytalnie skłaniał się do Łodzi.



41. Kartki zobrazki satyryczne z czasopiśmie Włodzimierza Zygiera.

41. "Tęże powstanie Związku Solidarności MSW z dnia 17.09.1980 r. w sprawie dyskusyjnej... (text continues with details of the union's formation and activities, mentioning various names and dates)."

Nigdy żadnej wpadki

Janusz Weiss jest dziennikarzem radiowo – telewizyjnym, a w PRL-owskiej przeszłości wraz z Jackiem Kleyffem i Michałem Tarkowskim tworzył legendarny „Salon Niezależnych”. Przy czym nie jest to jedyna barwna karta w jego biografii.

Pewnego majowego popołudnia wysłuchałam jego opowieści o zajęciu, któremu oddawał się w czasach, dla młodszej części naszego społeczeństwa odległych niczym bitwa pod Grundwaldem. A która to działalność stanowi do dziś ewenement na skalę – nie bójmy się tego słowa – światową.

Skoro tak się rzeczy mają, wypada rozpocząć tę opowieść tradycyjnie.

Dawno, dawno temu – w smutnych czasach stanu wojennego... (tu oddaję głos Januszowi Weissowi)...podziemna oficyna wydawnicza NOWA nagrała na kasecie video VHS film Ryszarda Bugajskiego „Przesłuchanie” i opatrzyła tę kasetę buńczucznym numerem 001, sugerując tym samym, że tych kaset będzie co najmniej sto. Jakimś cudem zakazany przez władze film udało się Grzegorzowi Bogucie ściągnąć z półki. Młodym przypomnę, że choć dziś są już inne, zaawansowane techniki, to wówczas zapis magnetowidowy stanowił szalenie nowoczesny wynalazek, a dostęp do sprzętu odwarzającego był bardzo utrudniony. Magnetowidów na rynku nie było w ogóle, można je było kupić tylko w Pewexie za bony dolarowe (jedno ze szczytowych osiągnięć socjalistycznej myśli ekonomicznej – przyp. OB.).

Kiedy więc zostałem szczęśliwym posiadaczem „Przesłuchania”, okazało się, że mnóstwo ludzi chce je obejrzeć, a prawie nikt nie ma magnetowidu. Ja zaś mogłem pożyczyć to urządzenie od sąsiada – zawodowego muzyka, który przywiózł je sobie ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich wraz z trzema filmami. Były to dwa filmy o Jamesie Bondzie zdubbingowane na niemiecki oraz film pornograficzny w oryginalnej niemieckiej wersji językowej. Wiedza o magnetowidach była wtedy tak mizerna, że przyjaciel ów nalegał stanowczo, bym nosił go wyłącznie w pozycji poziomej, albowiem każde odwrócenie do pionu spowoduje nieodwracalne uszkodzenia.

Przynosiłem więc od niego (w poziomie) magnetowid i urządziłem –

początkowo dla przyjaciół, potem dla przyjaciół przyjaciół, a następnie dla coraz szerszego grona – pokazy filmu „Przesłuchanie”. Film jest bardzo dobry, ale przecież tragiczny i okrutny – obfitujący w sceny wstrząsające. Próbowaliśmy z żoną wychodzić do drugiego pokoju, ale całe mieszkanie liczyło 48m² z wielkiej płyty, nader akustycznych, a tu Janda podnosi głos, Gajos podnosi głos, Ferency... W pewnej chwili stało się to już dla nas nie do zniesienia: tłumy ludzi w domu oczekujących jakiegoś posiłku – słusznie poniekąd – bo czas był trudny; gromadziło się różne zapasy, przywoziło ze wsi ćwierć świni, na przykład, i tak dalej.

Tymczasem zaczęło mi przybywać filmów, o czym za chwilę. Najpierw o wiedzy na temat nowoczesnych nośników.

Porozumiałem się przez kurierów z Mirkiem Chojeckim, który był wtedy w Paryżu, i przedstawiłem mu pomysł, żeby to kino było bogatsze – nie tylko na jednym pożyczonym magnetowidzie (noszonym poziomie). Mirek przysłał mi dwa lub trzy magnetowidy, jako że on w tej Francji zakładał wtedy studio „Kontakt”. Okazało się jednak, że te magnetowidy nie przyswajają polskiej taśmy – ponieważ Francja ma inny system zapisu. Zgłosiłem to Chojeckiemu, a on – z Paryża – poinformował mnie, że na Wilczej ulicy pod numerem takim to i takim w suterenie jest facet, który przestraja te urządzenia. Okazało się to bzdurą, więc oddałem te magnetowidy – nienowocześnie – Bogucie. Posłużyły niebawem NOWEJ do przewijania taśmy, bo silnik pracował w Polsce, reszta nie.

Okropnie byłem wkurzony: już – już witałem się z gąską, ten kurier z narażeniem się na przykrości przywlokł z Paryża ciężki sprzęt, a tu okazuje się, że klops. Udałem się więc do Teresy Boguckiej, która w Komisji Kultury Niezależnej „Solidarności” (w skład której wchodziłem również) dysponowała jakimiś pieniędzmi. – Potrzebuję trochę grosza na magnetowid... – mówię. Teresa na to: – Pogadaj z Bogutą, jeśli on będzie za, cościlibyśmy... – Grzesiu – powiadam

do Boguty – ty wydajesz już drugą kasetę, za chwilę będzie trzecia.... Boguta się zamyślił: – To fantastyczny pomysł, żeby powstała wypożyczalnia filmów, a potem i magnetowidów może też. Ale to jest cenny sprzęt, kosztuje mnóstwo pieniędzy. Jeśli ty będziesz bardzo dobrze zakonspirowany, to ubecza ci nigdy go nie zabierze. Ale też nikt tego nie obejrzy, bo w życiu nikt do ciebie nie trafi. A jak będziesz robił ogólnodostępne kino domowe – to przyjdą i ci to zabrają. Z drugiej jednak strony ja bym chciał, żeby filmy „Video NOWEJ” jak najszerszej się rozchodziły. To ja jestem za. Chociaż nie wróżę temu przyszłości...

Dostałem pieniądze od Teresy Boguckiej. I tu kolejny problem: gdzie kupić ma-

Polskę. No i przez niego sprowadziłem trzy pierwsze chyba magnetowidy tej firmy do kraju. Poza tym on mnie podszkolił na tyle, że odtąd nie nosiłem już ich w poziomie... Tym człowiekiem był jeden z najbogatszych obecnie u nas przedsiębiorców – pan Marek Profus. Myślę, że on nie wiedział, w jakiej sprawie ja ten sprzęt sprowadzam. Nie pytał – nie mówiłem. Mógł przypuszczać, że ja tym handluję. Ale i tak jestem mu głęboko wdzięczny.

Żeby jednak te magnetowidy mogły krążyć po ludziach – zaznaczam, że już w pozycji pionowej – moja żona (która wtedy trudniła się szyciem) uszyła zgrabne mocne pokrowce zortalonu, wyścielane flanelą, z wytrzymałymi rączkami, bo to swoje ważyło. I tak się zaczęło.

Przybywało coraz więcej filmów. Skąd? W kraju działała „Video NOWA”, a w Paryżu „Video-Kontakt” – Mirek Chojecki wypuszczał bardzo ciekawe materiały, opatrzone znakomitym profesjonalnym komentarzem Grzegorza Dobieckiego. To był rewelacyjny narrator i lektor, a materiały pochodziły z wolnego świata i dotyczyły przede wszystkim spraw polskich – widzianych z zewnątrz.

Czegóż tam nie było? Rozmowy z Czesławem Miłoszem, z innymi emigrantami, z telewizyjnego programu Bernarda Piwota „Apostrophe”. Materiały z dzienników telewizyjnych całego świata, które mogły ludzi w Polsce interesować. Relacje z demonstracji i protestów w sprawie Polski. Wypowiadali się ludzie kultury, politycy, historycy. To były rzeczy niesamowite, a Mirek to robił i przysyłał błyskawicznie – wszystko profesjonalnie nagrane i zmontowane. No i ten komentarz Dobieckiego... To były te słynne kroniki Studia „Video-Kontakt”, bo tak to się nazywało.

Następnie zaczęły do mnie docierać filmy produkowane przez Bolesława Sulika w Londynie. Były to trzy kasety cyklu „Historia Polski” oraz inne, które robił dla BBC – też fantastyczne materiały. Potem pojawiły się ko-



gnetowidy? W Pewexie? Niechętnie... Na Jelonekach, gdzie wtedy mieszkaliśmy w blokach, były na parterze różne punkty usługowe. I oto w sąsiedztwie pojawił się wielki napis: „Naprawa sprzętu domowego”. Zapukałem tam i zaczynam tłumaczyć facetowi, który mi otworzył, że ja potrzebuję tu pomocy, że bezpiecznik mi się przepalił, że coś tam... A on mi na to, że otwierają dopiero jutro. Od słowa do słowa, okazało się, że on jest przedstawicielem firmy Panasonic na

lejne filmy NOWEJ – jak „Pielgrzymka” Krzysztofa Żurowskiego czy „Robotnicy ‘80” Andrzeja Chodakowskiego i Andrzeja Zajączkowskiego. Itd., itp.

Moja publiczność, o której za chwilę, zaczęła mi jednak mówić: – Wiesz, „Przesłuchanie”, „Historia Polski”, „Robotnicy” – to jest jazda obowiązkowa, my bardzo chętnie. Ale wspominałeś coś o Bondzie, że go oglądałeś. Myśmy w życiu Bonda nie widzieli... Cóż, niemiecka wersja się nie nadawała, udało mi się jednak ściągając filmy o Jamesie Bondzie, a że magnetowidy zaczęły być coraz bardziej popularne, to poszedłem tropem zapisów cenzorskich i wkrótce miałem już takie fabuły, jak „Łowca jeleni”, „Rok 1984” i „Folwark zwierzęcy” Orwella, „Wybór Zofii” z Meryl Streep – wszystkie u nas na indeksie.

Oferta rosła, kaset NOWEJ miałem po cztery – pięć, dostawałem je od Boguty w agencji i wypożyczałem ludziom. Z trzech magnetowidów zrobiło się chyba sześć. Miałem też jeden mały kolorowy telewizorek – również w przenośnym pokrowcu.

Publiczność była rozmaita. Któregoś razu przyszli ludzie, poleceni oczywiście, bo podali ustalone hasło, i proszą o filmy, żeby urządzić seans u siebie w domu. Mówię im: – Zbierajcie datki co łaska – do kapelusza, bo musimy mieć na czyste kasety. (Pamiętam, że wypożyczenie magnetowidu kosztowało u mnie kilka złotych, kasety mniej. Rozliczałem się z Teresą Bogucką.) I ci ludzie powiadają: – Wie pan, my nie umiemy tego ani podłączyć, ani uruchomić, mamy ruski telewizor – czy to będzie działało? Ja już miałem wprawę, jedziemy moim maluchem, Ursus, osiedle Niedźwiadek, na drzwiach tabliczka z nazwiskiem Bujak. – Fajnie się pan nazywa – mówię do gospodarza – mało, że Bujak, to jeszcze Ursus... – Pan myśli o Zbyszku? – odpowiada gospodarz – zgadza się, to mój brat. Tak oto trafiłem na Bujaków. Poznałem też wtedy Roberta Tekielego. Pojawił się, pamiętam, smukły młodzieniec z długimi włosami, błądy, uduchowiony... On mieszkał wówczas w Krakowie, za chwilę zaczął się „Brulion”, więc kasety pojechały z nim do Krakowa. A jeszcze przychodził pewien człowiek, zwyczajny, że tak powiem, w cywilu. Moja żona mówi: – Słuchaj, to jest ksiądz. – Mam takie wrażenie... I kiedy się zgadało przy kolejnej wizycie, że rzeczywiście jest to ksiądz, który zbudował kościół wbrew zakazom władz, potajemnie. To była słynna historia, w Zbrozysy Dużej – kiedy władze chciały go zburzyć, to rolnicy zaciągnęły warty, stali na czatach i pilnowali, ostrzegali się wzajemnie, kiedy nadciągała ubecka... Ksiądz Czesław Sadłowski... Było o tym głośno. A kościół stoi do dziś. Tak więc publiczności przybywało najróżniejszej, krąg klienteli rósł, to pączkowało i pącz-

kowało, ale nigdy nikt nie wpadł. W ogóle nie było nigdy żadnej wpadki.

Tytułów było mnóstwo – w szczytowym momencie miałem z sześć magnetowidów, ten telewizorek portable i kilkaset kaset, co najmniej trzysta. Kto by te tytuły spamiętał? Miałem i dokumenty, i fabuły, a nawet – na prośbę rodziców – jakieś bajki dla dzieci, miałem „Neverending Story”. Dubbingowane one były bardzo kiepsko, ale to już był przemysł. Filmy tłumaczono skandalicznie po prostu – np. w „Łowcy jeleni”, kiedy on spada uciepiony helikoptera i wydaje z siebie rozpaczliwy okrzyk po angielsku, polski lektor czyta: „Spadłem na głaz”. No i kopiowanie szkodziło – każda kopia to strata jakości, to się wycierało coraz bardziej, wreszcie zostały tylko cienie – i to już było kino wyobraźni. W odróżnieniu od profesjonalnych kaset NOWEJ czy tych dostaw zagranicznych. Ale ludzie gapili się w ekran i wszystkim było miło i przyjemnie... Zresztą był to w tych smutnych czasach także i pretekst do spotkań towarzyskich, do pogadania... Taki seans pamiętam na Rynku Starego Miasta w malutkim mieszkanku przeuroczym ludzi, poprzedzony spotkaniem z kimś tam szczególnym. Ludzi napakowane pod sufit, a przy wejściu wisi repertuar na następny tydzień – oni mieli w zwyczaju drukować zapowiedzi. A do mnie trafiało już wtedy wszystko, co się pojawiało. Barwna twórczość Jacka Fedorowicza, na przykład. Ja sam, jak coś gdzieś widziałem – wyszarpywałem... Jak „Człowieka z marmuru” i „Człowieka z żelaza” Wajdy.

Największym powodzeniem cieszyło się niezmiennie „Przesłuchanie” – to był evergreen. Poza tym kroniki z Paryża. I Bondy.

A potem wybuchła wolność.

Za zgodą Komisji Kultury Niezależnej oddałem magnetowidy do domów dziecka i domów starców w Warszawie, kasety porzadawałem chętnym, w tym pewnemu krytykowi filmowemu. Jeszcze mi ze dwadzieścia zostało, a magnetowid mam zepsuty. Został mi jednak nawyk oglądania filmów w domu – teraz już na DVD. W czasie wakacji, bo normalnie nie mam kiedy.

Moje ulubione? Chaplina mogę w nieskończoność, „Casablanke” właśnie kupiłem – fantastyczne to jest kino. Nie, na „Casablanke” nie płacę. Płacę za to na filmach radzieckich – jak ten żołnierz pada, a nad nim wirują brozozy... Albo „Los człowieka”, kiedy ten mały krzyczy: „Tato, tato, ja wiedziałem, że jesteś moim ojcem!”... A „Ballada o żołnierzu”... Oni w tym osiągnęli absolutne mistrzostwo. Natomiast nie płacę na Lelouchu.

Olga Braniecka

P.S. Truizmem byłoby stwierdzenie, iż wypożyczalnia filmów prowadzona przez Grażynę i Janusza Weissów zasługuje na trwałe miejsce w dziejach polskiej kultury niezależnej.

Pracownia Wolnego Słowa SDP

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich prowadzi Pracownię Wolnego Słowa. Znajdują się w niej zasoby archiwalne Stowarzyszenia, druki „drugiego obiegu”, przedmioty pamiątkowe SDP z różnych lat, książki specjalistyczne. Odrębną kolekcją są prace nadesłane na konkursy SDP. Stanowią one interesujący zbiór materiałów prasowych, audycji radiowych i filmów telewizyjnych o tematyce określonej przez regulaminy poszczególnych konkursów. Z upływem czasu wartość tego zbioru wzrasta, materiały konkursowe są zapisem najważniejszych wydarzeń krajowych i międzynarodowych oraz losów ludzi. To historia „z pierwszej ręki”.

Pracownia powstawała właściwie od jesieni 1980 r., od karnawału „Solidarności”. Do Stowarzyszenia nasze koleżanki i koledzy przynosili wieści o tym, co się dzieje i oczywiście bezdebitowe druki. Najczęściej te, które sami pisali, redagowali, drukowali, wydawali i kolportowali. Dobrze schowane w zakamarkach Domu Dziennikarza na Foksal przetrwały stan wojenny i powojenny-przejęciowy do 1989 r. oraz cały ten przedziwny czas, kiedy to SDP skulone w dwóch pokoikach swojego Domu walczyło o uznanie praw i wyrównanie krzywd.

Pracownia Wolnego Słowa otworzona została najpierw w Kazimierzu w 2001 r., po przeszło dwóch latach z tymczasowej siedziby przenieśliśmy ją do Warszawy, gdy SDP odzyskało swój majątek. Obecnie znajduje się na IV p. Domu Dziennikarza, przy ul. Foksal 3/5.

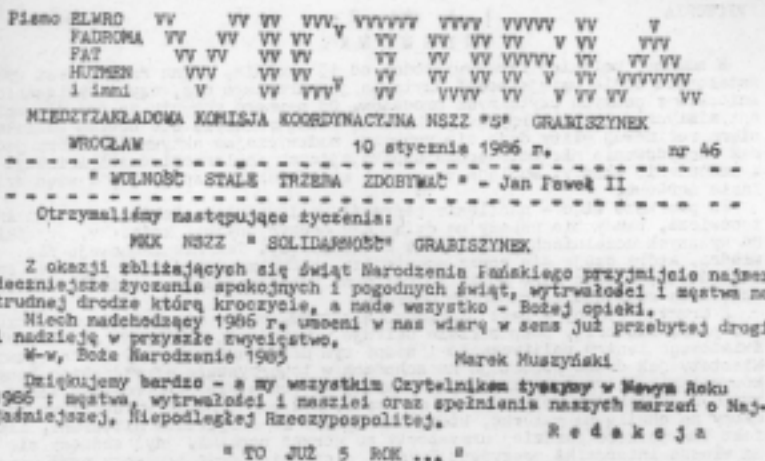
Zbiory ciągle powiększają się. Otrzymujemy przechowywane starannie druki bezdebitowe, zapiski z zebrań, ocenzone korespondencje, zadziwiająco nieraz dowody, jak stan wojenny, a potem cenzura ingerowała i chciała rządzić również prywatnym życiem.

Pracownia Wolnego Słowa zbiera materiały biograficzne, dotyczące dziennikarzy, redaktorów, wydawców, zbiera pamiętki, dokumenty, prasę z różnych okresów. Szczególnie wdzięczni jesteśmy za materiały, które pokazują, jaką wartością jest wolne słowo.

Jest wiele osób, pragnących swoje kolekcje druków drugiego obiegu „wyprowadzić” z tapczanów i przeciążonych półek, trudności mają rodziny zmarłych dziennikarzy z zachowaniem odziedziczonych archiwów. Przyjdźcie do nas! Przyjmujemy archiwa dziennikarskie jako dar lub depozyt, wszelkie druki i pamiętki związane z drugim obiegiem. Zabezpieczymy je, przygotujemy do udostępniania – o ile zgodzi się na to właściciel lub spadkobiercy.

Te dary i depozyty łączą nas, to materialny znak naszego uczestnictwa w historii. Na tych żółknących kartkach mówimy do siebie jak nigdy przedtem i nigdy potem.

Elżbieta Binder





Spoza kadru prop

– Czy pamiętasz, kiedy zacząłeś fotografować zdarzenia związane z działalnością opozycji?

– Chyba już sobie tego nie przypomnę. Ale taką w pełni świadomą rejestrację fotograficzną zacząłem, robiąc zdjęcia w Stoczni Gdańskiej, czyli w czasie sierpniowego strajku w 1980 r. Całą swoją dokumentację fotograficzną, jaką zebrałem przez całą dekadę lat 80., w małych, fragmentarycznych dawkach zamieściłem w swoim albumie „Polska”, wydanym już w 1990 r. przez Edition Spotkania. Ten album zaczyna się właśnie od zdjęć ze Stoczni Gdańskiej.

– Jak tam dojechałeś, przecież drogi do Gdańska miały być zablokowane?

– Swój fiacikiem 17 sierpnia tam pojechałem, ze Stefanem Starczewskim, korowcem, który był prawą ręką Jacka Kuronia. Mieliśmy odręczny list od Kuronia do jego żony Gaji, która już była w Gdańsku. Ten liścik miał być moją przepustką. Jadąc pustymi, wymarłymi drogami, nie wiedzieliśmy, co tam się w ogóle dzieje i co nas tam spotka. Słyszeliśmy o blokadzie Trójmiasta, sytuacja wydawała się groźna i mieliśmy dylematy, z jakiej strony wjechać do Gdańska. Od Warszawy, no nie ma mowy, od Szczecina – no też nie. Wydawało nam się, że jedyne wyjście – to wpłynąć od strony morza. Tak sobie żartowaliśmy. Dwa razy zatrzymywano nas i rewidowano, ale pobieżnie, bez szczegółowych przeszukiwań, ostatni raz tuż przed wjazdem do stoczni. Liścik od Kuronia okazał się wystarczającą przepustką, dostaliśmy jakieś szczególne wisiorki i mogliśmy się poruszać po terenie stoczni.

– I co tam zobaczyłeś swoim okiem fotoreportera?

– Od samego wejścia byłem zaskoczony, poruszony. Prędzej oczekiwałem tam awantur, kłótni, szarpaniny, zniszczeń, bo taki zwykle obraz strajkowniczych urabiała propaganda komuny, a tymczasem poczułem, że wylądowałem w całkiem innym świecie. Byłem zaskoczony nieprawdopodobną dyscypliną, porządkiem, kulturą, panującą tam atmosferą wzajemnej solidarności, życzliwości. I to było takie pierwsze moje zauroczenie, tym zachowaniem robotników. Biło z nich poczucie honoru, godności.

– Czego jednak nie da się uchwycić aparatem...

– Masz rację, że nie da się takich doznań wyrazić na zdjęciach, ale to niesamowite wrażenie związane z zachowaniem robotników na zawsze pozostało w mojej pamięci i dlatego o tym mówię. Byłem do końca strajku, mieszkalem w Sopocie u znajomych i codziennie dojeżdżałem do stoczni. Chwytałem każdy ruch, różne zmienne sytuacje, wydarzenia i tysiące ludzi, nie tylko głównych bohaterów i uczestników negocjacji, ale również tę rzeszę anonimowych bohaterów. Z oczywistych względów najwięcej jest zdjęć z Lechem Wałęsą. Kiedy pierwszego dnia zapytałem kogoś, który to jest ten Wałęsa, bo przecież go jeszcze nie widziałem, pokazano mi grupę osób na jakimś podeście, którą zacząłem fotografować. Tam go jednak nie było, w czym zorientowałem się, kiedy po chwili zobaczyłem, jak stoi i przemawia w zupełnie innym miejscu. Dzień w dzień go fotografowałem, aż do podpisania porozumień i zakończenia strajku. A nazajutrz, 1 wrze-

śnia, wczesnym rankiem byłem u niego w domu na Przymorzu, i oczywiście też robiłem zdjęcia. O, tu masz Wałęsę jedzącego śniadanie, jest 7.30, za nim żona Danuta i dwóch małych jeszcze synów. Chwilę później wiozłem go swoim samochodem do pierwszej pracy w nowej, już związkowej roli, do pierwszej siedziby NSZZ „Solidarność” przy ulicy Marchlewskiego w Gdańsku.

– Nie da się powiedzieć o wszystkim, co zrobiłeś przez tych 10 lat, od sierpniowego strajku do okrągłego stołu. Demonstracje, manifestacje, ataki zomowców, msze za ojczyznę z księdzem Jerzym, wielkie pogrzeby Przemyska, jego matki Barbary Sadowskiej, księdza Jerzego, niezależne działania kulturalne, spektakle, koncerty i wystawy w kościołach, w prywatnych galeriach-pracowniach, podziemne wydawnictwa i zespoły redakcyjne drugiego obiegu, no i ludzie, przede wszystkim ludzie, postaci pierwszoplanowe i nieznanne. Byłeś wszędzie, co miało związek z opozycją, walką, z podziemiem, a często byłeś w miejscach, do których żaden inny reporter nie miał wstępu. Jak zdobywałeś zaufanie, skąd się brał ten kontakt, którego inni nie mieli, a który sprawił, że stałeś się największym kronikarzem tych wydarzeń?

– Nie wiem, czy dałoby się to jakoś jednoznacznie wytłumaczyć. Może z gęby uczciwie wyglądam? W każdym bądź razie, zacząłem tę penetrację opozycyjnej działalności od ludzi, których znałem wcześniej, i tak od nitki do kłębka dostawałem się do wydarzeń i ludzi, często niedostępnych dla innych, do ludzi, którzy mnie chętnie widzieli, czy przynajmniej nie wyrzucali. Nawet teraz się dziwię, że



agandy

Z Erazmem Ciołkiem
rozmawia Hugon Bukowski

moja aktywność zawodowa była aż taka, bo rzeczywiście byłem w bardzo wielu miejscach, czego dowodem ogrom zdjęć już publikowanych, oraz dużo większa ilość takich, których jeszcze nikt nie oglądał. Np. z samych tylko niezależnych działań kulturalnych pozostała mi pękata teczka stykówek, z których można zrobić osobny piękny album. Mam to w planie.

– **Podziw budzi twój warsztat, to dążenie, żeby ogarnąć nie tylko duże plany, obrazy, całości, ale i żeby być jak najbliżej uczestników wydarzeń. Skąd to przekonanie, że tak to trzeba robić?**

– Bodajże Lenin powiedział, że jeśli zabije się dziesięciu ludzi, to tragedia. Natomiast kiedy zabije się sto tysięcy, jest to statystyka. Bardzo często fotografowałem tłumy, żeby pokazać masowość wydarzenia, zjawiska, ale żeby jednocześnie pokazać tragizm, albo bohaterów, nawet nie w sytuacji dramatycznej, tragicznej, ale w momencie jakiegoś działania, choćby rodzaju kulturalnego, intelektualnego, musiałem podchodzić jak najbliżej, by ukazać ludzi z bliska. To jest tych dziesięcioro zamordowanych, dziesięć osób to już nie jest statystyka, lecz tragedia, dramat.

– **Nasuwa mi się zdjęcie z pogrzebu Grzegorza Przemyska, z 19 maja 1983 r., z siedzącymi przy mogile matką Barbarą Sadowską i księdzem Jerzym Popiełuszką, delikatnie obejmującym ramieniem plecy bolejącej matki. Niezwykły dokument, dzieło sztuki, Pieta. I nie wiedziało tych dwoje, że ich dni bólu i cierpienia też są już policzone. Cudowny dokument, którego nikt inny nie mógł zrobić...**

– Tłum na Powązkach był wtedy ogromny, wszedłem na rosnące przy tym grobie drzewo i pstrykając z góry, wypatrzyłem ten znamieny moment i obraz z tym dwojgiem bliskich mi ludzi, który chyba mówi wszystko. Właśnie Pieta. W następnym roku byłem na tym samym drzewie, a jest to niezwykle drzewo, bo od połowy jego pnia rozkłada się dokładnie w literkę V. Chowano matkę Przemyska, Basię Sadowską, tłum był znowu ogromny, a kiedy wlałem na to drzewo, doleciały mnie okrzyki – hej, ty tam szpiclu, kapusiu, złaż z tego drzewa! Przeraziłem się, jestem na wysepce, pode mną morze, jak zejść to utonę albo połamię mi gnaty. Na szczęście byli w tłumie ludzie, którzy mnie znali, zaczęli uspokajać krzykaczy, i jakoś przeżyłem.

– **Czy momenty zagrożeń zdarzały ci się często? Co innego w Stoczni Gdańskiej, gdzie była dyscyplina, kultura, ale jak sobie radziłeś na burzliwych, niebezpiecznych demonstracjach ulicznych? Przecież w każdym momencie mogli cię zgarnąć, zniszczyć aparat, podeptać go, a ciebie zapakować do budy, suki.**

– Nie chcę przesadzić. Jak ktoś dostaje w mordę, to go boli i potem boi się, żeby już nie dostać. Natomiast jeśli bokser walczy na ringu z drugim, to wie, że dostaje w mordę i w ogóle go to nie interesuje, dopóki nie pada. Oczywiście, zagrożenia były, w każdej chwili mogło mnie coś przykrego spotkać, w domu, poza domem, nie analizuje się tego. Ja się nie bałem, choć nie należę do odważnych. Nie wiem, z czego to wynika. Tam, gdzie mogłem oficjalnie występować, np. w czasie wizyt Jana Pawła II czy na mszach za ojczyznę z księdzem

Jerzym Popiełuszką na Żoliborzu, wtedy spokojnie fotografowałem w pełni zawodowym niconem. Ale już wykluczone, żeby się z tym aparatem pojawiać w sytuacjach niebezpiecznych. Jak wiedziałem, że będzie jakaś zawierucha, ubierałem się w garnitur, krawacik i zabierałem z sobą małego olimpusika z wężykiem. Jak zomowcy atakowali demonstrantów, to wszyscy uciekali, normalny oddech, ale ja sobie szedłem spokojnie, wolnym krokiem w przeciwną stronę, na szpaler milicjantów czy zomowców i mówiąc przepraszam, przechodziłem dalej, jak jakiś zabląkany turysta, z ręką w kieszeni, w której naciskałem co chwilę końcówkę wężyka ukrytego w szaliku małego aparatu. Tak zrobiłem wiele zdjęć.

– **Ostatni rozdział to okrągły stół, na którym byłeś oficjalnym fotoreporterem strony opozycyjnej.**

– Tak, nawet mogę się poszczycić tym, że to przeze mnie te słynne obrady rozpoczęły się z 15-minutowym opóźnieniem. Szedłem z delegacją opozycji, z Wałęsą i Mazowieckim, od Karowej do Urzędu Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu. Szliśmy opóźnieni o kwadrans, bo kiedy Jan Lityński czy ktoś inny zadzwonił do tego urzędu w sprawie listy osób z naszej strony, to okazało się, że nie ma mnie na liście. Zostałem skreślony. Dlaczego nie ma? Nie ma i nie będzie, odpowiedziano z urzędu. Musiał interweniować Wałęsa, który rozmawiał w tej sprawie ze Stanisławem Cioskiem. Powiedział, że nie wejdziemy, jeśli nie będzie całej listy z moim nazwiskiem. Poskutkowało i od pierwszego do ostatniego dnia obrad wchodziłem do pałacu, kiedy chciałem.

Koniem przez świat

czyli jak wydawaliśmy pismo w Białołęce

24 GRUDNIA 1981 r., pozwolono spotkać się internowanym w Białołęce na więziennym korytarzu na wspólnej modlitwie i złożyć sobie życzenia. I właśnie wtedy z setek gadeł wydobyły się słowa kolędy, które poraziły swoją prostotą otaczających nas klawiszy i zomowców. A słowa te, napisane z pomocą współwięźniów przez Macieja Zembatego na melodię znanej kolędy brzmiały tak:

by się zdrącom nie zdawało, że zawiadną Polską całą,

a Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.

Było oczywiste, że Białołęka, choć stała się więzieniem naszych ciał, nie uwięzi naszych dusz.

Tak rodziła się gazeta. Wyjątkowa, bo jak na warunki, w których działała, nie była efemerydą, ale prawie codziennie wydawanym serwisem publicystyczno-informacyjnym. W Białołęce, więzieniu, gdzie pozbawieni zostaliśmy elementarnych praw, gdzie symbolami przyswajanej przez nas informacji miała być „Trybuna Ludu” i wychowawca więzienny, pilnujący naszego politycznego kręgosłupa.

Wszystkie białołęckie publikacje informacyjne zaczęły się od tego, że Krzysztofowi Śliwińskiemu udało się przemycić do więzienia małe radyjko umożliwiająca odbiór Wolnej Europy. Dzięki temu mieliśmy dostęp do informacji poza więzieniem. Natychmiast powstał serwis informacyjny, jedna mała karteczka, na której spisane były najważniejsze wiadomości o pierwszych dniach oporu przeciwko stanowi wojennemu. Mimo tego, że byliśmy

Na zdjęciu z dołu od lewej: Jan Lityński (odwrócony), Dariusz Kupiecki, Tadeusz Rachowski, Piotr Szawczer, Robert Terentiew. W środku Maciej Zembaty, Adam Michnik, U góry: Marek Borowik, Wojciech Borowik, Marek Beylin, Przemysław Cieślak, Konrad Bieliński (leży na przycy)



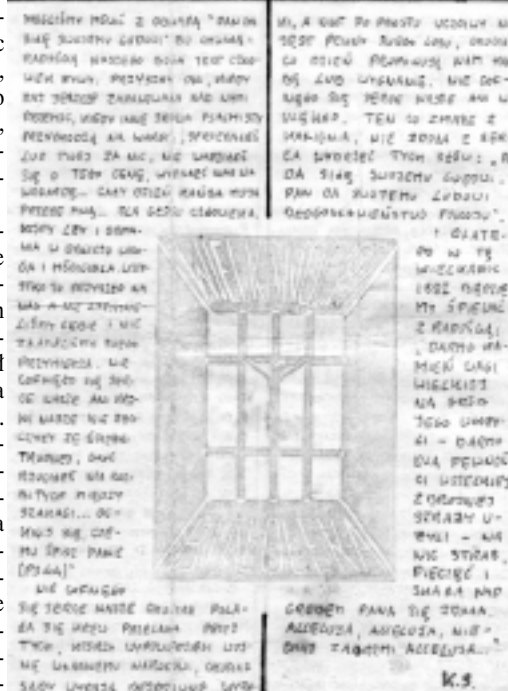
zamknięci w osobnych, sześciuosobowych celach, informacja dochodziła do wszystkich uwięzionych. Wierciliśmy dziury przy kaloryferach, a jeżeli to nie było możliwe, używaliśmy kija i szrotki, żeby serwis przekazywać od celi do celi. Sprawa nie była taka prosta, choć wielu naszym kolegom z bogatym dorobkiem więziennym dobrze znana i stosowana do przekazywania grypsovych przedmiotów powszechnego w więzieniu użytku, czyli papierosów.

Im dłużej siedzieliśmy, tym więcej uzyskiwaliśmy informacji z widzeń oraz ze spacerniaka. Zaczęły również docierać do nas egzemplarze podziemnej prasy wolnościowej. Coraz więcej interesujących wydarzeń miało miejsce w naszym więzieniu. Trzeba było zacząć wydawać gazetkę, która tę wiedzę upowszechni.

Zapalnikiem, który bezpośrednio spowodował powstanie „Koniem przez świat”, była głódówka rozpoczęta przez część internowanych.. Klawisze chcąc ukarać i odizolować tych, którzy głodowali, od tych co nie uczestniczyli w głódówce, przenieśli nas do innego pawilonu. Podjęliśmy wtedy decyzję: wydajemy pismo.

Radio z nasłuchem znajdowało się już tradycyjnie w celi Krzysztofa Śliwińskiego. To on wraz z Konradem Bielińskim i Jackiem Czuputowiczem przygotowywał serwis dla redakcji, która mieściła się w innej celi. Tam redagowano wiadomości uzyskane z przekazu radiowego, z podziemnych gazetek, z widzeń oraz z życia w Białołęce. Po zredagowaniu, jeden z kolegów odczytywał cichutko teksty, a dwie inne osoby pisały je na kartkach. W ten sposób uzyskiwaliśmy duży jak na te wa-

runki nakład dwóch egzemplarzy codziennego wydania pisma. Czasami, głównie na święta, zdarzały się wyższe nakłady. Rekord to kilkanaście sztuk, których większość została rozproszona poza naszym więzieniem. W takim nakładzie wydaliśmy na przykład wiersze Janka Kelusa, który siedział w innym pawilonie. „Elegię grudniową” czy „Za dobry powrót do Itaki” publikowaliśmy jako pierwszy.



Często w celi redakcyjnej odbywały się kipsze, ale byliśmy już doświadczonymi konspiratorami i więźniami, w zasadzie obywało się bez wpadek. Czasem ktoś poszedł siedzieć na kilka dni do izolatki i miał dzięki temu urlop od ciężkiej pracy „zeczersko – drukarskiej”. Tym bardziej, że niektóre numery miały nawet od 8 do 16 stron. W zespole celi-redakcyjnej byli: Bogumił Bartolik, Wojciech Bogaczyk, Wojciech Borowik, Marek Koszakowski, Mirosław Basiewicz, Adam Romaniuk. Z czasem dorobiliśmy się też stałej winiety. Zaprojektował ją, wyciął z linoleum z więziennej podłogi i wykonywał (dla bezpieczeństwa w innej celi) Janusz Krzyżewski.

Po pewnym czasie nasi koledzy z wolności skonstruowali dla nas radio specjalnie do odbioru tylko Wolnej Europy. Była to niekształtna bryłka, która nie budziła zainteresowania strażników, czy kipsujących nasze cele zomowców. Jak z tego opisu wynika „Koniem przez świat” było poważnym przedsięwzięciem redakcyjno-organizacyjnym. W pracę nad przygotowaniem numeru zaangażowanych było kilkanaście osób. Nie mówiąc o kolportażu. Używaliśmy gazetowego układu i grafiki. W poszczególnych numerach często zamieszczaliśmy teksty publicystyczne, a także opowiadania. Naszym autorem był choćby pisarz Janusz Anderman.

„Koniem przez świat” wychodził od stycznia do czerwca 1982 r. Wyszło prawie 200 numerów. Pismo podpisywaliśmy: Redaguje Zespól, Warszawa, ul Ciupagi 1 (adres aresztu śledczego i więzienia w Białoleńce). Wydania gazety były numerowane, a datowane kolejnym dniem stanu wojennego. Z czasem urosła nam konkurencja – powstał „Kipisz codzienny”, wydawany w celi Andrzeja Czumy. Ale tak naprawdę nie miał szans i nie wygrał z nami konkurencji.

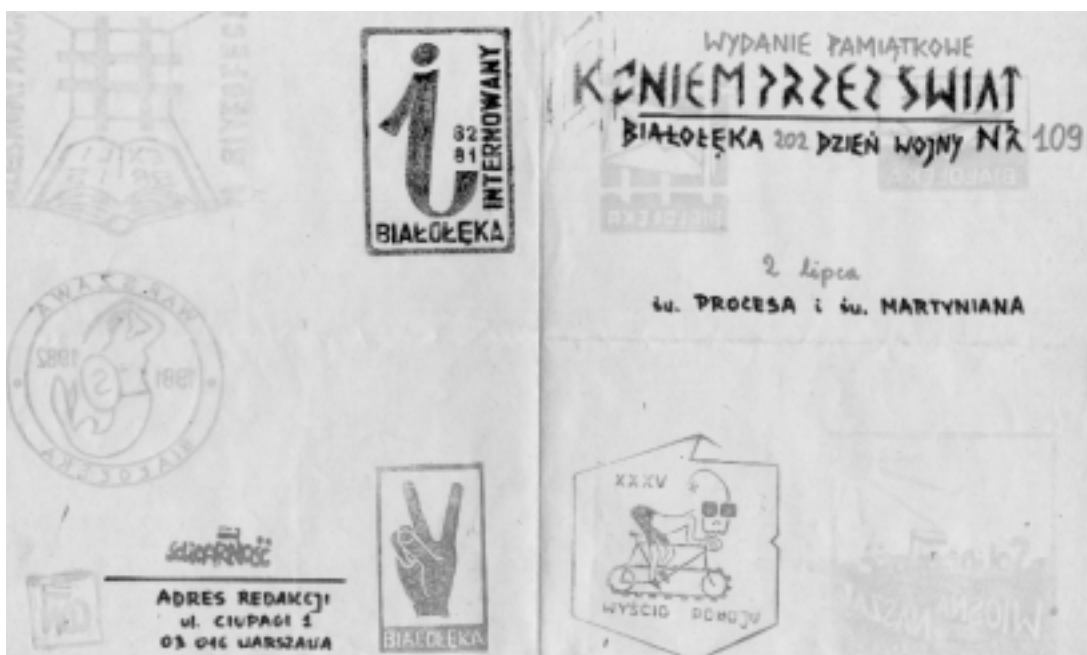
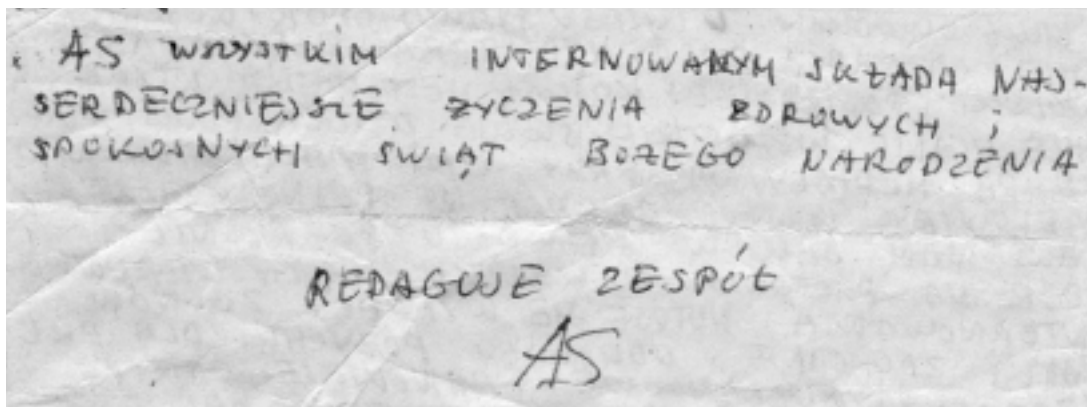
Wojtek Borowik – członek warszawskiego KIK, działacz opozycji antykomunistycznej od drugiej połowy lat 70., współpracownik KOR, NOWEJ, redaktor wychodzącego w podziemiu w latach 1982-89 miesięcznika społeczno – politycznego Vacat

Marek Koszakowski – w końcu lat 70. współpracownik NOWEJ, w latach 1980-81 dziennikarz i redaktor w biuletynie „Niezależność” Regionu Mazowsze „Solidarności”, w 1982-89 współpracownik miesięcznika Vacat. Później redaktor w „Gazecie Wyborczej” i „Rzeczpospolitej”.

Z leksykonu białoleńskiego: „Koniem przez świat” nr 60, 120 dzień wojny

KOŃ, sposób komunikacji między celami, polegający na rzucaniu w stronę sąsiedniego okna sznurka z obciążnikiem. Konia najlepiej tapie się na wysunięty przez kratę kij od szczotki. Stąd pochodzi tytuł naszego pisma. Zob. też DZIURA

DZIURA, podstawowe urządzenie komunikacyjne między sąsiednimi ce-



lami. Dziurę wykonuje się przez poszerzenie otworów przy instalacji co. Zob. też KONŃ.

PRASA – dzieli się na legalną i nielegalną. Legalna jest „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy” i „Rzeczpospolita”, które prenumerujemy. Prasa nielegalna dzieli się na wolnościową i tutejszą. Wolnościowa dociera różnymi drogami – czytamy „Tygodnik Mazowsze”, „Tygodnik Wojenny” i inne wydawnictwa „Solidarności”. Tutejsze pisma zaczęły wychodzić zaraz po 13.12. Pierwszy był „AS” (Agencja „Solidarności”), który od 1 stycznia wydawa-

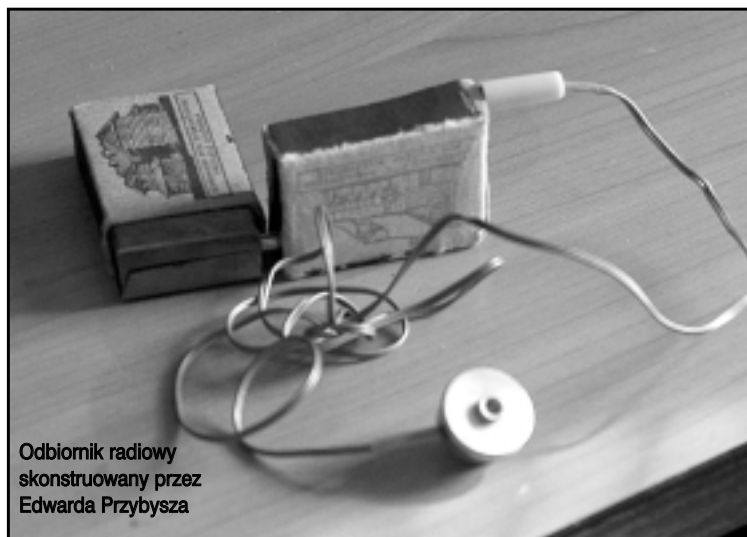
ny jest jako „BAS” (Białoleńska Agencja Solidarności). Do końca marca osiągnął ponad 70 numerów. Po przeniesieniu głodujących na OZ- II (OZ Oddział Zamknięty; tu przebywali więźniowie) zaczęła wychodzić mutacja pod nazwą „Basik” (dwadzieścia kilka numerów). Przejściowo ukazywał się „Biuletyn Informacyjny”. Na OZ-II jako pisma publicystyczno-informacyjne wychodzą: „Kipisz codzienny” (kilkanaście numerów) oraz „Koniem przez świat”. Nie mamy bliższych informacji o pismach ukazujących się teraz na OZ-I.

RWE w internacie

Po 13 grudnia 1981r. zapewniły się ośrodki internowania. Jednak izolacja była niepełna. Do internatów docierała podziemna prasa, docierały też informacje przekazywane przez zachodnie rozgłośnie. Szybko przemycono pierwsze odbiorniki radiowe, które zapewniły internowanym łączność ze światem. Umożliwiły one powstanie wydawnych różnymi technikami pism.

Już wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego ruszyła produkcja miniaturowych odbiorników, przeznaczonych specjalnie na potrzeby siedzących w internatach kolegów. Taką produkcję w Warszawie uruchomił m.in. współpracujący z NOWĄ były pracownik PAN inż. Edward Przybysz, zaś pomysłodawcą przedsięwzięcia był Piotr Rotkiewicz z Instytutu Teledziennictwa. Odbiorniki, które mieściły się w 2 pudełkach zapałek, ustawione były na jedną fałę, mogły odbierać jedynie RWE lub BBC. Zaopatrzone w słuchawki i anteny podłączane do kaloryferów odbierały je czysto! Wyprodukowano ok. 20 aparatów, ale problemy ze zdobyciem słuchawek wstrzymały produkcję.

Jan Strękowski



Odbiornik radiowy skonstruowany przez Edwarda Przybysza

Opowiadanie Gołych za Wołgę!

Paweł nie był zachwycony. No bo z jednej strony jemu już też zaczynało brakować papieru, nadto byliśmy zadłużeni u niego w papierze za dwa ostatnie numery, ale z drugiej – to i ryzyko parszywe i resory mogły pójść w diabły. Tak siedzieliśmy naprzeciw siebie w fotelach, między nami stolik i zamiast gadać jak ludzie pisaliśmy krótkie komunikaty na kartce papieru. To tak na wypadek, gdyby podsłuch w mieszkaniach nie był fikcją. Inteligentny ubek, gdyby miał podsłuch i czas, by na nim siedzieć, zapewne by się czegoś domyślił, choć przecież równocześnie graliśmy w szachy.

Obu nam to było nie na rękę. Wieczorem miało być przyjęcie na Marszałkowskiej, nad Świtezianką, zapewne wprawdzie do rana, ale czy po tym wszystkim będzie nam się chciało? Paweł podniósł do góry laufra, a grał czarnymi, lecz zamiast postawić go na jakies pole wsadził między zęby, troszkę pogryzł, w życiu tego laufra chyba nie pierwszy raz, a wreszcie, nie wyjmując go z ust wziął długopis, kartkę i napisał: – Oki twoja mać. Za remont, jak coś walnie – płacicie!

Gdański Towarowy nie jest idealnym miejscem zaopatrzenia. No bo niby dość często wożą, przeladują, lub wyladują papier, ale to nieodmiennie jest papier w belach, nie w ryzach. Potem trzeba ciąć. My tego nie umiemy – umieją chłopaki z NOWEJ, ale sporą część pobierają za usługę. Wojtek z podwórka daje mi cynk od swojego kolesia, zatrudnionego właśnie na Gdańskim Towarowym. Zsynchronizować musi się taki układ: koleś Wojtka, pan Józef musi mieć dyżur nocny z ludźmi ze swojej brygady ładowaczy, na bramce musi siedzieć sokistka w wieku lat circa sześćdziesięciu z włosami ufarbowanymi na wściekłe rudy kolor, a po terenie muszą się szwędzać też tacy sokisci, którzy byli zblatowani. Ale o to nie było trudno. Sokisci sami zdejmowali z wagonów lodówki, pralki, odkurzacze albo opony i przed ładowaczami z nocnego dyżuru to nie dawało się ukryć.

Nie było ta

Rozmowa Zuzanny Dąbrowskiej z redakcją podziemnego pisma „Vacat”: Wojciechem Borowikiem, Markiem Kossakowskim i Krzysztofem Siemieńskim

– **Nazwaliście swoje pismo „Vacat”, czyli jak coś, czego nie ma, czego brakuje. Skąd taki pomysł?**

M. Kossakowski: Chodziło o to, żeby nazwa zaczynała się na literę „V”, trochę na złość, bo generał Jaruzelski powiedział, że takiej litery w polskim alfabecie nie ma. Ludzie podnosili palce w górę na znak Victorii w czasie demonstracji, kojarzyło się to z wolnością i zwycięstwem. Bardzo długo szukaliśmy odpowiedniego słowa, w końcu wzięliśmy słownik i „vacat” nam się spodobał. Od razu narzuciła się nam formuła graficzna winiety: zaciśnięta ręka z wystrzelonymi w górę palcami „zajęczkami” na znak zwycięstwa. Narysował ją niezjący już Edek Wasilewski.

– **Pisma podziemne powstawały z różnych powodów, najczęściej chyba po to, by zagrzewać ludzi do działania, dawać świadectwo czasom, a chyba rzadko po to, by sprawić czytelnikowi radość z czytania. Po co robiliście „Vacat”?**

W. Borowik: Chcieliśmy wydawać normalne pismo, a ponieważ nie mogliśmy tego robić legalnie, trzeba było to robić w podziemiu. Nazwa pokazywała, że jest to pismo którego nie ma, a które powinno funkcjonować w normalnym obiegu wydawniczym. Robiliśmy po prostu polityczny magazyn dla ludzi. Chcieliśmy wydawać takie pismo, które swojego jedyne uzasadnienia nie bierze z istnienia cenzury, ale także broni się atrakcyjnymi tekstami. Gdyby nie trzeba było tego robić nielegalnie, to robilibyśmy legalnie.

M.K.: No nie wiem... Przecież gdybyśmy mogli legalnie robić pismo, to moglibyśmy legalnie też robić wiele innych rzeczy i może wcale nie przyszłoby nam do głowy, żeby robić „Vacat”? To właśnie fakt, że nie wolno było robić gazety, był właściwym motywem dla nas – by ją robić. Chociaż zgadzam się, że chodziło o to, by pismo było tak ciekawe, żeby nie brało się go do ręki z powodu patriotycznego obowiązku, ale dlatego, że jest co czytać.

– **Własne pismo założyć chciałby chyba każdy dziennikarz. Teraz potrzeba na to wielkich pieniędzy i koncernów medialnych. A wtedy, w latach 80. wystarczała determinacja i dostęp do maszyny drukarskiej?**

W.B.: Gazetę można zrobić bardzo szybko, rzecz w tym by utrzymała się na rynku. Ale taka też była historia „Vacatu”: kiedy zaczynaliśmy bibuła była rozchwytywana, czytana bardzo chętnie i traktowana jako instrument walki. Szczerze mówiąc, może nie zawsze było istotne, co jest napisane. Liczyło się to,

że udało się napisać i wydrukować. Ale ten zapal się przecież po paru latach skończył. Polska się zmieniała, atmosfera społeczna się pogorszyła, ludzie przestawali czytać bibułę, coraz trudniejszy był kolportaż, a nowych tytułów przybywało. Więc w ostatnich latach trochę się szarpaliśmy, ale walczyliśmy dość konsekwentnie o swoje miejsce na tym absolutnie specyficznym i trochę szalonym rynku. Dlatego bardzo troszczyliśmy się o jak najwyższy poziom, sięgaliśmy po autorów „z górnych półek”. Przeważnie byli to świetni, znani publicyści, którzy nie mogli lub nie chcieli wtedy istnieć w obiegu oficjalnym. Ale zdarzyło nam się także wydrukować w dwóch odcinkach „Diabelską alternatywę” – najnowszą wówczas powieść Frederika Forsytha. Mieliliśmy zresztą dylemat: czy w imię puszczania sensacyjnej powieści można narażać ludzi, którzy to drukują, kolportują? Ale zdecydowaliśmy, żeby puścić kryminał, co bardzo się naszym czytelnikom spodobało. Były przecież wtedy prakcje i czytelnik powinien dostać coś „do czytania”.

– **Jak powstawał Vacat?**

M.K.: W lipcu 1982 r. wyszedłem z Białoleki i od razu zacząłem się nosić z pomysłem robienia pisma. Okazało się, że z takim pomysłem nosi się także Wojtek, również pensjonariusz tego samego ośrodka. Co prawda ludzie podziemia patrzyli na takich jak my z lekkim dystansem, uważając, że się nie nadajemy do konspiracji, bo nie mamy doświadczenia, które oni już zdobyli. Tymczasem okazało się, że redakcja złożona z ludzi funkcjonujących w różny sposób – trochę „na powierzchni”, trochę w konspirze przetrwała wiele lat bez wpadki! Poza tym chcieliśmy robić coś własnego, nie wchodzić w żadne istniejące struktury – związkowe czy polityczne, tylko tworzyć coś jakby „prywatnie”, na własny rachunek. A potem Wojtek spotkał Krzyżka...

K. Siemieński: Ja właśnie byłem ta „stara konspira”, drukowałem różne pisma, także „Tygodnik Mazowski”. Spotkaliśmy się z Wojtkiem przypadkiem w księgarni wojskowej na Krakowskim Przedmieściu, zaczęliśmy gadać, wymyśliśmy, co chcemy robić, a na następnym spotkaniu redakcja już pracowała w pełnym czteroosobowym składzie. Miałem trochę „zaoszczędzonego” papieru, do-

stęp do paru powielaczy, należących zresztą do NOWEJ, której byłem drukarzem. Przeprowadziłem na spotkanie Janka Gogacza*, odbyły się burzliwe dyskusje, spieraliśmy się o koncepcję pisma.

M.K.: No tak, bo ja i Wojtek mieliśmy inny pomysł: miało być cieńsze, a za to wychodzić co dwa tygodnie. Ale w końcu stanęło na miesięczniku. Pierwszy numer wyszedł w grudniu 1982. Nie mieliśmy na początku maszynistki, przepisywałem wszystko sam na matryce białkowe, nie wyrabiałem się zresztą i muszę przyznać, że parę tekstów dość radykalnie na własną odpowiedzialność skróciłem. To zresztą stało się z czasem zasadą – sami zdecydowaliśmy o tym, co i w jakiej formie idzie do druku.

Ale rzadko kiedy którykolwiek z autorów miał o coś pretensję. A najważniejsze było to, że przez prawie osiem lat utrzymywaliśmy równy cykl wydawniczy! Miało wychodzić co miesiąc i wychodziło, no, chyba, że ktoś poszedł siedzieć. W szczytowym okresie drukowaliśmy 7 tys. egzemplarzy, co naprawdę było niezłym nakładem, jak na podziemne pismo publicystyczne.

– **Ale żeby rytmicznie wydawać pismo, trzeba mieć jakieś zabezpieczenie finansowe, autorzy też muszą przeżyć. Także i redaktorzy?**

M.K.: Wspominałem, że chcieliśmy być normalnym pismem. A w normalnym piśmie za pracę się płaci. To temat przemilczany przez lata. Słynny milion dolarów dla „Solidarności” od Kongresu USA – ja nie wiem, czy on był, czy go nie było – ale jeżeli był, to przecież tych pieniędzy nie żądali powielacze, tylko wydali ludzie. Nie da się żyć powietrzem. No tak, były jakieś pieniądze, choćby wpłaty od ofiarodawców, które skrzętnie odnotowywaliśmy w piśmie. I pieniądze od NOWEJ, która płaciła nam w naturze – przekazując część nakładu pisma. To nie były duże pieniądze, ale staraliśmy się płacić autorom za teksty i sobie też wypłacać skromne pensje.

– **Jak wyglądało planowanie gazety, zamawianie tekstów?**

K.S.: Janek Gogacz pracował w wydawnictwie „Iskry”, można było do niego przyjść nie wzbudzając nadmiernego zainteresowania. Poza tym było to świetne miejsce do kontaktu z autorami, „Iskry” były matecznikiem wielu znakomitych nazwisk. Dziś już trudno sobie przypomnieć w szczegółach, jak to funkcjonowało, pamiętam natomiast, że po-



kiej litery

nieważ zajmowałem się głównie stroną techniczną tego przedsięwzięcia, czyli tym, żeby „Vacat” się ukazał, to popędzałem kolegów, żeby szybciej pracowali nad tekstami.

W.B.: Mieliliśmy trochę dobrych kontaktów z dawnych czasów, które wykorzystaliśmy. Współpracowaliśmy z kilkoma grupami, jedną z nich było środowisko nieżyjących już niestety – Ewy Szemplińskiej i Dariusza Fikusa, którzy pisali własne teksty, ale także, jak Ewa, wykonywali prace redakcyjne, np. przeprowadzając wywiady zamówione przez „Vacat”. Oni także utrzymywali kontakt z innymi autorami, z Maciejem Szumowskim, Dorotą Terakowską czy Jerzym Surdykowskim. Naszym, jednocześnie autorem i „kontaktem” z kolejnymi piszącymi, był Kisiel. Pisał też Wojciech Lamentowicz. Współpracowaliśmy blisko z Jackiem Czapotowiczem, który także zamawiał dla nas teksty, częściowo dzięki kontaktom jego matki, która należała do dziennikarskiego środowiska i skontaktowała nas np. ze Stefanem Bratkowskim. Później Stefan do „Vacatu” pisywał jako stały autor. Bardzo pomagał nam nasz stały przedstawiciel za granicą Mietek Grudziński. Ale trzeba też wspomnieć o Krzysztofie Czabańskim, Jerzym Surdykowskim, Macieju Wierzyńskim, Andrzeju Walickim, Wojciechu Giełżyńskim, Piotrze Ikonowiczu z całą redakcją PPS-owskiego „Robotnika”, sporadycznie pojawiał się też na łamach Adam Michnik. Niektórzy pisali pod nazwiskiem, inni pod pseudonimem. Spektrum prezentowanych poglądów było bardzo szerokie, szczególnie jeśli spojrzymy z dzisiejszej perspektywy, wiedząc w jak różnych politycznych kierunkach rozwijali się nasi autorzy po 1989 r.

K.S.: Ja wtedy studiowałem filozofię, a ponieważ drukowałem m.in. biuletyn Społecznego Komitetu Nauki – to miałem kontakt z Zygmuntem Łuczyńskim, Romanem Zimandem, Barbarą Stanosz. SKN dawał nam większe teksty, takie, które były zbyt obszerne do ich biuletynu. Janek Gogacz miał wielu znajomych, także w środowiskach naukowych, humanistycznych. Przyjaźnił się z Teresą Torąńską, która drukowała u nas w „Vacacie” pierwsze fragmenty „Onych”. Dawaliśmy też duże wywiady z wybitnymi postaciami opozycji: Lechem Wałęsą, Jackiem Kuroniem, Jankiem Lityńskim, Konradem Bielińskim. Robiliśmy czasem specjalne wydania pisma, jak w przypadku śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Staraliśmy się, żeby „Vacat” był aktualny i ciekawy, żeby oddawał atmosferę, klimat debaty i bieżących wydarzeń.

- W tym czasie dużo mówiło się o taktyce, o tym jak po stanie wojennym ma działać opozycja, na jakie kompromisy

wolno iść. Czy ta dyskusja odbywała się także na łamach „Vacatu”?

W.B.: No jasne! To były dla nas podstawowe pytania. Byliśmy przecież w pewnym sensie zawodowymi rewolucjonistami, dyskutowaliśmy o granicach kompromisu, o współpracy z władzą, o bojkocie. Debatowaliśmy o strategii: czy jest szansa na niepodległość, czy też należy się nastawić na wywalczenie pewnych stref suwerenności, organizację stowarzyszeń, pracę organiczną.

M.K.: Te dylematy towarzyszyły nam przecież od 1980 r. aż do czerwcowych wyborów w 1989 r.

W.B.: Podziały spowodowane stosunkiem do bieżącej rzeczywistości nie były ani proste ani oczywiste. Od zawsze miałem poglądy lewicowe, zawsze marzyłem o budowaniu polskiej niekomunistycznej lewicy. I dlatego byłem przeciwny okrągłemu stołowi. Bo w interesie prawdziwej lewicy było odsunięcie komunistów od władzy i delegalizacja ich struktury, tak żeby można było wreszcie zbudować formację nie uwikłaną w totalitarną przeszłość. To się nie udało i po lewej stronie dominują do dziś ludzie związani z PZPR. Mówię o tym, by pokazać, że te kwestie dzieliły nas wtedy, ale tak naprawdę dzieli do dziś.

M.K.: No właśnie, bo ja jestem przekonany, że bez okrągłego stołu Polska brnęłaby w dalszy niedorozwój i bez nadzieję, że to był ostatni moment na zmiany. Choć oczywiście nie znaczy to, że uważam, że potem wszystko poszło optymalnie.

- Wróćmy do „Vacatu”. Czy ta różnorodność udało się wam przypadkiem, czy był świadomy zamysł, żeby robić pismo tak zróżnicowane politycznie?

W.B.: Oczywiście, że chcieliśmy robić pismo wielu światopoglądów! Po to się robi pismo bez cenzury, żeby jej samej nie stosować. Nie chcieliśmy mieć jednoznacznego emblematu politycznego, bo sami mieliśmy różne poglądy i często się kłóciliśmy. Chcieliśmy pluralizmu w kraju, to musieliśmy go mieć we własnym piśmie. Dzięki temu wyrobiliśmy sobie niezłą markę i od pewnego momentu weszliśmy w stałą współpracę z NOWĄ, która uznała, że będzie „Vacat” firmować, brać w kolportaż, drukować.

K.S.: Ja cały czas byłem drukarzem NOWEJ, od początku stanu wojennego. Ale to dzięki temu, że Wojtek, który był związany z NOWĄ od jej początków, przekonał Grzesia Bogutę, „Vacat” zaczął wychodzić wreszcie oficjalnie.

- Jak to oficjalnie?

M.K.: Nie na zaoszczędzonym papierze i nie pokątnie, dzięki czyjejs uprzejmości. Tylko „legalnie nielegalnie”. W największym podziemnym wydawnictwie. Ale jak Krzysiek poszedł siedzieć,

to nam się tryb wydawniczy trochę zaburzył.

- W połowie lat 80. wszystkim już chyba brakowało nadziei na zmianę. Jak wtedy myśleliście o przyszłości? Do końca życia drukowanie „Vacatu” w podziemiu?

M.K.: Ja byłem przekonany że szybko się to wszystko nie skończy. Nastroje się popsuły, zaczęło być beznadziejnie. Dlatego tak bardzo spodobał mi się ruch „Wolność i Pokój”, jako coś nowego, świeżego, dającego nadzieję. Już wiedzieliśmy, że któryś tam strajk związkowy nie ma żadnych szans powodzenia. Trzeba było szukać nowych instrumentów i wspierać nowe inicjatywy, ruchy społeczne, obywatelskie. Dlatego WiP-owi poświęciliśmy parę numerów.

W.B.: Od wczesnej młodości byłem związany z opozycją, wiedziałem, że nie mam szans na wielką karierę w oficjalnym obiegu. Nie myślałem, że to się może zmienić. Byłem przekonany, że po prostu czeka nas długa i mało efektywna walka. Dlatego zresztą angażowaliśmy się w bardzo wiele inicjatyw, pism i działań. To był sposób na życie. Niezły sposób.

K.S.: Ja też nie bardzo liczyłem na zasadniczą zmianę. Ostatni raz zamknęli mnie w 1988 r., ale uciekłem z komendy, bo dom miałem pełen bibuły i trzeba było zawiadomić żonę, żeby „posprzątała” zanim SB wpadnie z rewizją. Wtedy nie przypuszczałem, że wszystko w Polsce pójdzie tak szybko...

- Czy „Vacat” był etosowym pismem?

M.K.: Nie zadawaliśmy sobie wtedy takich pytań. Było oczywiste, że to, w czym funkcjonujemy, to jest etos. Ale, żeby się nad tym zastanawiać? I gdyby ten etos traktować poważnie – nie moglibyśmy przecież drukować Forsytha.

K.S.: Nie jesteście etosowi. Nie porobiliśmy wielkich karier. No popatrz, jak się do dziś ubieramy! Stare sztruksy, flanelowe koszule, rozciągnięte swetry...

W.B.: Daj spokój Krzysiek, nie zauważyłeś, że ten etos właśnie na tym polega?

- Dziękuję za rozmowę.

***Jan Gogacz – zmarł po ciężkiej chorobie 3 kwietnia 1998 r. w wieku 52 lat.**

„Vacat”, niezależny miesięcznik społeczno – polityczny, ukazywał się w podziemiu w latach 1982-89. W skład redakcji wchodził: Wojciech Borowik, Jan Gogacz, Marek Kossakowski, Krzysztof Siemiński. Współpracownikami i współautorami pisma byli m.in.: Stefan Kisielowski, Stefan Bratkowski, Ewa Szemplińska, Dariusz Fikus, Teresa Torąńska, Jerzy Surdykowski, Wojciech Giełżyński, Jerzy Niecikowski, Jacek Czapotowicz, Krzysztof Czabański, Andrzej Walicki, Dorota Terakowska, Adam Michnik, Roman Zimand, Barbara Stanosz, Maciej Wierzyński, Grażyna Staniszkis, Jan Strękowski.

Taki nocny dyżur to była dla ładowaczy fucha. Teoretycznie czekali na nagłe polecenie z góry, że z wyładowaniem czegoś tam nie można czekać do rana. No i jeśli to coś mogło zdjąć trzech ludzi uzbrojonych w bułgarski elektryczny wózek balkancar, to mieli zdjąć i załadować na podstawiony samochód. A ponieważ w praktyce to się nie zdarzało, to oczywiście całą noc nic nie robili, za to w księgowości rachowano to jako pracę nocną i płacono 150% stawki. W praktyce to pili wódkę. Zdaje się – bywało – popełniali i cięższe grzechy, ale mi nic do tego.

O 23.40 stałem jak palant pod barem JAŚ na Placu Wilsona, a Pawła ciągle nie było. Z czwartku na piątek dzień boży pracowity – ludzi prawie nie było, za to laził patrol z psem, no i od Mickiewicza, jak to zwykle w okolicach mieszkania Kuronia, marzli jacyś zawsze ni ubecy. Nie warto było się nimi przejmować – nie mi byliśmy ich klientami, podobnie jak tych niewidocznych, za rogiem obsadzających kościół Popiełuszki. No ale może coś z nudów notują, np. numery samochodów? Plac Wilsona nie był najlepszym miejscem, ale pierwszy raz z Pawłem szliśmy na dworzec właśnie spod JASIA no i tak zostało. Całkiem wbrew zasadom konspiracji.

Wreszcie przyturlała się Tatra Pawła. Pasy były już przytłoczone, zrolowane i ściągnięte szpagatem. No nie po leni się. Wsiadłem i pojechałmy w poprzek Zoliborza, stopniowo spuszczać się coraz niżej ku torom. Na trzydzieści metrów przed budką Paweł zatrzymał, wysiadłem i dziarskim krokiem, całkiem jakbym nie był zestresowany, poszedłem do okienka. Ciemno w środku, nikogo nie widziałem, a osobliwie rudych farbowanych kudłów, no to zapukałem w szybę. Zamiast odpowiedzi wyłazł z budy babol w uszance, tak na oko to ten rudy właśnie i zaczął otwierać bramę. Nic nie mówiła.

- Ja do pana Józefa.

- Wiem, wiem, wjeżdżajcie szybko, bo zimno będzie.

Jakie zimno – całkiem ciepła majowa noc, jeśli założyłem sztruksową kurtkę, to tylko po to, by poupychać trochę fajek na wypadek, gdyby nas zhalowali. Dałem znak Pawłowi, on ruszył, gdy mijaliśmy zakręt zasłonięty kępą krzaków, babol

Wrocławskie bezdebitowe

po zamknięciu bramy już się chował w swojej budzie.

Trzeci raz już tu byliśmy – to sprawa rutyny – elegancko w świetle odległej jarzeniówki wjechaliśmy bryką między pakamerę a krzaczory tak, że wozu wcale nie było widać. Zanim wysiadłem, wyszedł z pakamerą facet. Znałem go, chyba Gieniek go wołał?

- Pochwalony – prześmiewczo ryknął na cały regulator – albo prowokator, albo naprawdę niczego się nie bali.

- Bele są, ale to w tamtym końcu – kontynuował.

- Na którym peronie?

- A gdzie – no tu, w tym składzie, ze Skolwinu, sam sprawdziłem – czwarta klasa. Będzie git?

- Git. A pan Józef jest?

- No jest, jest, tylko śpi, bo chrapie. A Gieniek wcale nie przyszedł, musiałem za niego, taka jego mać, podpisać listę.

Sprawa była jasna, mój rozmówca, to oczywiście ten sam człowiek, z którym przedtem działaliśmy, ale Gieniek to jeszcze ten trzeci, którego nie ma.

- To co, budzimy pana Józefa?

- A po co? Sami damy radę.

Ta deklaracja nie wzbudziła mego zaufania. Tego Gienka nie ma, Józef śpi, albo też go nie ma, a ten może na przykład został prowokatorem? Może trafili go na transporcie siedzów, lub innego niedostępnego na rynku dobra, no i w zamian za wolność nas sprzedaje?

- Kiedy ja mam coś powiedzieć panu Józefowi. Niech pan budzi – nie obrazi się.

- Pewnie że się nie obrazi, ale po co – sam dam radę.

Ja jednak nie zważam, wchodzę do pakamery, smród aż odbił mi głowę – tam chyba nigdy nie wietrzono, ale istotnie – pan Józef chrapie i w środku nikogo innego nie ma poza śledziami w na wpół otwartej puszcze rybek w oleju.

- Chodź pan, bo czasu szkoda – słyszę.

Gdy wyszedłem na zewnątrz, ten nie-Gieniek już zapuścił motor balkancara – dosiadłem się. Paweł ciągle siedział w bryce – jakby co – to on nie wie o co chodzi. Potem role się odwróca, w drodze powrotnej to ja będę głupim pasażerem, ale to potem. Niby nic, ale na ewentualnej, tfu, tfu – rozprawy – takie rzeczy się liczą.

Nie-Gieniek mijając kolejne wagony liczył je na palcach. Gdy podjechaliśmy pod właściwy, to kierownicę trzymał

Wydawnictwa bezdebitowe powszechnie utożsamia się z działalnością opozycji politycznej. Nie brakowało jednak innych publikacji, które ukazywały się bez zgody cenzury. Były wśród nich m.in. druki religijne, pisma duszpasterstw akademickich, Klubów Inteligencji Katolickiej czy też grup artystycznych, hipisowskich, muzycznych, punkowych oraz innych subkultur. Wydawnictwa te należały także zaliczyć do bezdebitowych, choćby dlatego że w PRL nie było jasno określonej granicy, oddzielającej działania opozycyjne od jakiegokolwiek aktywności. Istniejące prawodawstwo umożliwiało zaliczenie prawie każdej działalności do tej kategorii poczyni.

Pierwszym – znanym dziś – piśmie, które zaczęło się ukazywać we Wrocławiu poza cenzurą, był Organ Studia Kompozycji Emocjonalnej, wychodzący od stycznia 1973 r. Było to pismo artystyczne. Dopiero 5 lat później wyszedł pierwszy numer periodyku bezdebitowego, redagowanego przez członków wrocławskiej opozycji. Był to miesięcznik Studenckiego Komitetu Solidarności „Podaj Dalej”. Obok niego przed Sierpnem '80 pojawiło się jeszcze kilka tytułów o podobnym profilu. Najbardziej znanym i niewątpliwie najlepszym był miesięcznik „Biuletyn Dolnośląski”. Pomysłowością wykazywali się członkowie oficjalnie działającego Klubu Inteligencji Katolickiej, wydający od 1976 r. kilkudziesięciostronicową gazetę ścienną „Wiązka”.

Po Sierpniu

Przełomowym momentem w historii druków bezdebitowych było powstanie „Solidarności”. Dzięki zmianie sytuacji politycznej władze prawie przestały przesładować wydawców bezdebitowych. „Solidarność” jako legalnie działający związek zawodowy mogła korzystać z oficjalnie działających drukarni, zwłaszcza w zakładach pracy, w których działała. Obok materiałów związkowych powielano w nich teksty innych wydawców, nie chcących podlegać cenzurze. Związek zaczął też tworzyć, dzięki darom z Zachodu własne drukarnie. Jeda z największych została uruchomiona przez Zarząd Regionu „Solidarności” Dolny Śląsk we Wrocławiu w drugiej połowie 1981 r. Część ofiarowanego sprzętu Związek przekazywał innym wydawcom bezdebitowym. Łatwiej

też było kupić takie urządzenia na wolnym rynku. To wszystko oraz ogromne zapotrzebowanie na informacje spowodowało, że po Sierpniu '80 gwałtownie wzrosła liczba ukazujących się wydawnictw bezdebitowych.

Dużą ich część stanowiły czasopisma. Dwa tytuły wrocławskie: „Solidarność Dolnośląska” i „Z Dnia na Dzień” obejmowały swym zasięgiem cały region. Pierwsze było tygodni-

kiem informacyjno-publicystycznym, drugie serwisem informacyjnym, ukazującym się 3 razy w tygodniu. Obydwa powielano w nakładzie kilkudziesięciu tys. egzemplarzy. Ukazywały się również pisma środowiskowe, zakładowe i okolicznościowe. Wśród czasopism środowiskowych i zakładowych wrocławskiej „Solidarności” wyróżniały się m.in.: „Edukacja” – pismo nauczycieli i pracowników oświaty, „Fama” – tygodnik Komisji Zakładowej w „Fadromie”, „Informacje” – pismo Politechniki, „Komunikaty” Uniwersytetu, „Semafor” – tygodnik kolejarzy oraz „Solidarność Paławagu”. Na ich łamach pojawiły się też teksty publicystyczne, poświęcone ówczesnym wydarzeniom politycznym oraz tematyka historyczna.

Obok „Solidarności” najaktywniejszym wydawcą było Niezależne Zrzeszenie Studentów, do którego weszli członkowie Studenckiego Komitetu Solidarności, mający duże doświadczenie w działalności wydawniczej. Pierwsze pisma, sygnowane początkowo przez Niezależny Samorządny Związek Studentów, ukazały się we wrześniu 1980 r. Studenci Akademii Rolniczej, Politechniki i Uniwersytetu mogli pochwalić się największą liczbą wydawanych i kolportowanych, nie tylko w środowisku akademickim, czasopism. Zrzeszenie bardzo szybko reagowało na zmieniającą się sytuację polityczną. Podczas ogólnopolskich akcji protestacyjnych ukazywały się jedno- lub dwustronicowe serwisy informacyjne, często w ciągu dnia redagowane i drukowane dwa numery. Wśród mieszkańców Wrocławia dużym powodzeniem cieszył się „Hebdiol” – serwis Komitetu Strajkowego NZS Politechniki, wydawany na

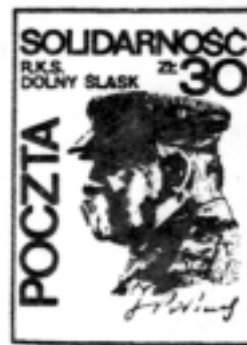
przełomie listopada i grudnia 1981 r. Ciekawą inicjatywę – drukowania tłumaczeń tekstów z prasy francuskiej – podjęli członkowie Zrzeszenia na Uniwersytecie. Wyszły 3 numery pisma „W Oczach Zachodu”, wypełnione w całości tymi artykułami. Na prawie każdej wrocławskiej wyższej uczelni ukazywały się pisma informacyjno-publicystyczne. Były to m.in. następujące tytuły „Co Słyszać” (Akademia Medyczna), „Errata” (Akademia Ekonomiczna), „Gwar” (Akademia Rolnicza), „Jesteśmy” (AWF) oraz „No Więć” (Politechnika i Uniwersytet)

Należy również wspomnieć o powstałym na Uniwersytecie – bardzo popularnym kilka lat później – Ruchu Nowej Kultury, czyli Pomarańczowej Alternatywie. Jej członkowie i sympatycy „realizowali” się na kilku uczelniach. W trakcie tych

działań wydali też kilka pisemek. Ich redaktorzy w bardzo specyficzny sposób przedstawiali ówczesną rzeczywistość lub wcale się nie zajmowali, przedkładając nad nią np. problemy estetyczne. Sztandarowym tytułem była „Pomarańczowa Alternatywa”. Nietypową i prawdopodobnie jedyną w kraju inicjatywą w 1981 r. było stworzenie Społecznego Komitetu Przeciwdziałania Narkomanii. Wydawany przez niego dwumiesięcznik „Dokąd Idziesz” przełamywał mur milczenia, jakim otoczono problem narkomanii w polskich oficjalnych mediach. Swoje pisma w tym czasie we Wrocławiu wydawały również: Duszpasterstwa Akademickie, Grupa Anty-Berufsverbot w Polsce, Krąg Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego, Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność”, Regionalny Komitet Obrony Więzionych za Przekonania, Uczniowski Komitet Odnowy Społecznej, Związek Harcerstwa Polskiego i Związek Młodzieży Pracującej „Robotnik”.

Po Grudniu

Po wprowadzeniu stanu wojennego prawie wszystkie ukazujące się do tego momentu pisma przestały wychodzić. Na „polu bitwy” ostały się m.in.: „Biuletyn Dolnośląski”, „Solidarność Dolnośląska” i „Z Dnia na Dzień”. Istniejąca baza poligraficzna została albo zniszczona, albo stała się niedo-



ka prasa wa 1973-89

stępna. Aresztowania przerzedziły szeregi redaktorów, drukarzy i kolporterów. Wieczne problemy z nabywaniem papieru i farb drukarskich pogłębiły się jeszcze bardziej. Zaczęto wydobywać z różnych zakamarków zakamuflowany lub zapomniany sprzęt drukarski oraz ponownie stosować metody organizacyjne i techniczne wypracowane przed Sierpniem '80. Dużą popularnością cieszyły się zaczęły wspomnienia i opracowania dotyczące konspiracji podczas drugiego wojny światowej.

Pierwsze „wojenne” wydanie „Z Dnia na Dzień” kolportowano już wieczorem 13 grudnia. W pierwszym tygodniu stanu wojennego ukazało się 10 tytułów, ale tylko 2 z nich przetrwało dłużej. Bardzo znane stały się „Wiadomości Bieżące”, wydawane – mimo aresztowania pierwszej redakcji – do końca czerwca 1989 r. Innym popularnym wrocławskim tygodnikiem ukazującym się od czerwca 1982 r. do dziś, stała się „Solidarność Walcząca”, która obecnie jest miesięcznikiem i wychodzi w Poznaniu. Rekordzistą na skalę krajową zostało „Z Dnia na Dzień”. Ukazało się 543 razy, z czego 394 numery wydał w konspiracyjnych warunkach Regionalny Komitet Strajkowy Dolny Śląsk. Powstawały pisma Tajnych Komisji Zakładowych i Międzyzakładowych Komisji Koordynacyjnych „Solidarności” i środowisk z nimi związanych. Tytuły: „Biuletyn Informacyjny” Politechniki, „FATA-morgana”, „Hydratek”, „Iskierka”, „Iskra Wolności”, „Jednością Silni”, „Jutrzenka”, „U Nas” i „Victoria” wychodziły nieprzerwanie przez kilka lat. Podziemnym koncernem wydawniczym stała się w połowie 1982 r., Agencja Wydawnicza Solidarności Walczącej. Jej sygnaturę, choć nie zawsze umieszczaną ze względów konspiracyjnych, można znaleźć na wielu drukach różnych odmian opozycji, jak i wydawców z nią związanych, wydających we Wrocławiu i poza nim. Dużą aktywnością nadal wykazywali się studenci. Redagowane przez człon-

ków NZS pisma były w większości serwisami informacyjnymi. Najdłużej wychodziły „Komunikaty” (Uniwersytet) oraz „Na Indeksie” (Politechnika).

Swoje pisemka wydawała – bardzo sporadycznie – młodzież szkół podstawowych oraz uczniowie szkół średnich skupieni m.in. w Międzyszkolnym

bezdebitowy kwartalnik socjologiczny „Przyjaciel Nauk”.

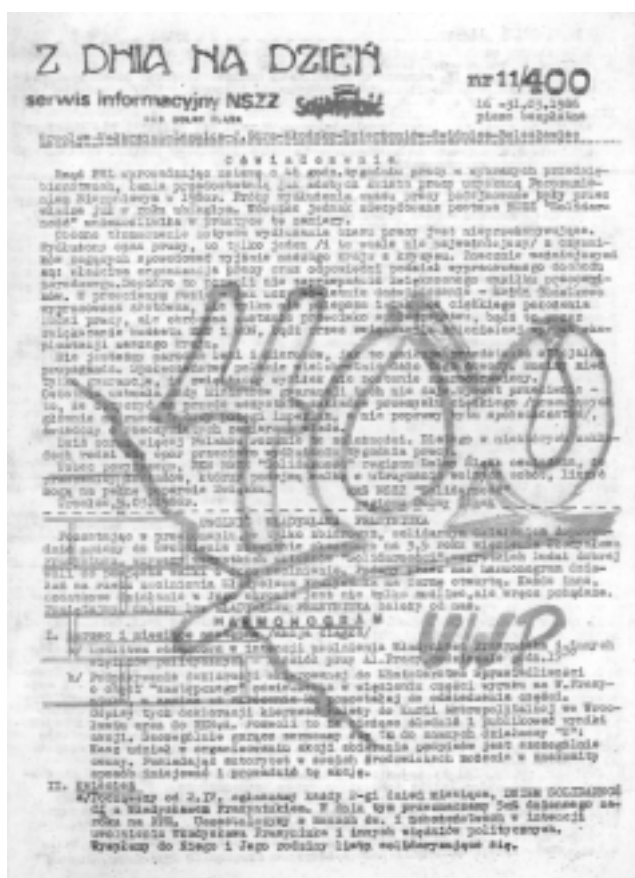
Nie matura, lecz chęć...

Poziom prasy bezdebitowej – poza nielicznymi wypadkami – był często bardzo niski i znacznie odbiegał od czasopism ukazujących się oficjalnie.

Charakterystyczne jest to, że jej jakość generalnie była wyższa przed Sierpniem '80, niż później. Wynikało to z faktu, iż po powstaniu „Solidarności” znacznie wzrosła liczba tych pism oraz osób wydających je. Zdecydowana większość nowych redaktorów nie była przygotowana do wypełniania swoich obowiązków. Zazwyczaj też ważniejszy dla nich był sam fakt wydania gazetki, którą traktowali jako swego rodzaju manifest ich aktywności, niż jej poziom. Pisma te były jednak o wiele bardziej autentyczne i różnorodne od „normalnych” gazet.

Prasa bezdebitowa we Wrocławiu ukazywała się przez 17 lat, dziś znamy ponad 500 jej tytułów. Stanowi to prawdopodobnie około 70-80 % wszystkich wychodzących w stolicy Dolnego Śląska pism bezdebitowych. Nie do wszystkich udało się dotrzeć. Wiele z nich odbijano w bardzo małych ilościach i dlatego były znane tylko w niewielkich kręgach, co bardzo utrudniało zdobycie o nich jakichkolwiek informacji. Istnieje też duże prawdopodobieństwo, że pewnej części nie uda się już nigdy odnaleźć, ponieważ nie zachowało się żadne z wydań. Można przypuszczać, przede wszystkim na podstawie informacji zawartych w bibliografiach tych druków, że w całym kraju ukazywało się ok. 4-5 tys. bezdebitowych pism. Należy więc uznać, że stolica Dolnego Śląska była jednym z najważniejszych ośrodków bezdebitowego ruchu wydawniczego w kraju.

Szczepan Rudka



Komitecie Oporu. Wydawali oni kilkanaście tytułów, a wśród nich „Szkołę” – bezsprzecznie najlepsze w Polsce bezdebitowe pismo młodzieżowe.

Wśród pism satyrycznych poziomem wyróżniał się wydawany w 1982 r. i powielany fotograficznie „Ślepowron”. „Duet Wolności” powołałi, prawdopodobnie w 1983 r., pracownicy „Archimedes” i „Dolmelu”. Cenzury nie znosili także więźniowie polityczni przebywający w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej, redagujący ręcznie przepisywane „Bez Cenzury”. Wśród pism literacko-społecznych prym wiodła wydawana co kwartał przez Inicjatywę Wydawniczą „Aspekt” niezależna „Obecność”. Ta sama oficyna we współpracy z poznańskimi redaktorami drukowała jedyny w Polsce

w dwóch, a pałąk skrzyni biegów po prostu dociskał otwartą dłoń.

- To będzie ten.

Z gracją zaparkował, podszedł do drzwi wagonu, wyjętym z kieszeni urządzeniem wyszarpnął z olowanej plomby drut tak, aby się nie przerwał, otworzył, wskoczył do środka niczym Kmicic na konia i gestem zaprosił mnie również.

W środku bele leżały jedna na drugiej w dwóch warstwach i w dwóch rzędach – jeśli nie były nasiąknięte, to każda ważyła osiemset kilo. Z dwóch stron weszliśmy w szczeliny między belami, by najbliższą choć trochę wysunąć. Zapięrając się nogami o te z drugiego rzędu, trzeba było trochę szarpnąć tę między nami. No ni cholery nie szło!

- Ten drugi, w samochodzie, to też inteligent? – spytał nie-Gieniek i nie czekając na odpowiedź dodał:

- Zajaraj se, ale pod tą budką – istotnie przy peronie stała jakaś budka – bo po co sokiści mają widzieć? Przecież piękna ze śmiechu, że papier rąbiemy!

No i wsiadł w swego balkancara i pojechał z powrotem. Było jasne – pojechał po Pawła w nadziei, że dwóch inteligentów w sumie da siłę jednego ładowacza.

Ale nie – nie wypaliłem jeszcze extra – mocnego, gdy wrócił, ale z panem Józefem.

- Daj pan fajkę – poprosił pan Józef. Poczestowałem ich i w milczeniu, szanując fazę przechodzenia z panajózefowego snu do jawy, wypaliliśmy po całym, przy czym ja to już drugiego pod rząd.

Bez zbędnego gadania, uważnie, w trosce o przepisy przeciwpożarowe, rozdeptali pety i weszli do środka – nie-Gieniek jak poprzednio – nader zżwo, gdy pan Józef przeciwnie – jakoś tak niezgrabnie. Nawet jeszcze chyba nie zdążyli solidnie się zaprzeć, gdy beła, jakby sama z siebie, najpierw wysunęła się tak na piętnaście centymetrów, a zaraz potem na więcej niż na pół metra. Ze środka wygramolił się pan Józef, mimo niewątpliwego wysiłku chyba nadal rozspany, nieomal wpelzył na siodełko balkancara, podniósł ze zgrzytem nienaoliwionego łańcucha podnośnik i krzyknął do kolegi:

- Tylko podsuń z czuciem, chłopie – to nie „Politykę” będą na tym drukować! Jak zrobisz dziurę...

Lata osiem- - bliskie i

Ale nie skończył, bo nie-Gieniek nadludzkim chyba wysiłkiem nieco uniósł osiemsetkilowy ciężar, a może tylko go jakoś przesunął, umożliwiając precyzyjne zagłębienie się łyżek podnośnika między trzy przylegające do siebie bele tak, by jedna spoczęła na tych łyżkach. Pojazd wyjechał, wykręcił, wsiałem do środka, a nie-Gieniek został jeszcze, bo przecież wypadło doprowadzić do ładu ołowianą plombę. Gdy jechaliśmy, odwróciłem się – pracował solidnie – przyświecał sobie trzymaną w ustach latarką. Ale tylko przez chwilę – po co ktoś miał bez powodu zapamiętać, że paliło się tu światło?

Pod kufer tatry zajechaliśmy od tyłu, z drugiej strony pakamery. Pan Józef bez żenady wjechał balkancarem w krzaczory tak, by pojazdy ustawiły się względem siebie pod kątem prostym. Dzięki temu bela mogła oprzeć się o tylną część samochodu strona obłą. Paweł już umocował specjalnie sprofilowaną deskę po to, by bela nie wgniotła tylnej szyby i aby nie kolebała się zanadto. Z doświadczenia wiedziałem, że jeśli ostro nie skręcać, to wcale się nie kolebała.

Truchtem przybiegł nie-Gieniek. Paweł umocował pas do haka holowniczego z przodu. Pan Józef, teraz już z uwagą – rzecz przecież dotyczyła prywatnego samochodu – rzeczy bardzo cennej, choć pewnie nie doceniał, że w tym wypadku również zabytkowej, dokładnie wpasował położenie beli względem kufru. Potem zeskoczył, uniósł nieco w łyżkach belę, a nie-Gieniek zahaczył pierwszy pas o tylny hak holowniczy. Pan Józef znowu wszedł do balkancara i wyjechał – bela tylko trochę się obsunęła.

Od początku pot tatry leżał drugi pas. Paweł przerzucił jego końcówkę na tył, pan Józef dopchnął belę do samochodu tak, że choć na ręcznym hamulcu, to jednak ruszyła trochę do przodu. W tym czasie nie-Gieniek stalowymi klamrami spiął drugi pas – ten, który opasywał cały samochód od przodu do tyłu, a nadto podciągnął klamry pasa zaczepionego o haki holownicze. Tatra siadła tak, że resory to chyba miał wygięte w drugą stronę. No ale powinna wytrzymać – już dwa razy przecież wytrzymała.

Z tylnego siedzenia wjąłem torbę z pięcioma flaszkami Wyborowej z Pewexu. Tak by-

Fenomen powszechnej opozycji narodu wobec władzy nie oczekiwał się dotąd poświęconych mu badań naukowych, dzieł literackich, a nawet porządnej dokumentacji historycznej. Jak gdyby powszechność czyniła go czymś oczywistym, o czym nie warto wspominać. A przecież był to okres przełomowy w historii Polski i świata. Lata 80. są też prywatną historią paru pokoleń ludzi żyjących w betonowo, zdawałoby się, trwałej rzeczywistości, którzy tę rzeczywistość zanegowali. Podjęte przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa badania historyczne i socjologiczne (baza Niezależni dla kultury i badanie socjologiczne Śpiący rycerze) są - odpowiednio - dokumentacją ich dokonań i próbą uchwycenia stanów świadomości towarzyszących i w jakimś sensie wpływających na świadomość społeczną w ostatnim ćwierćwieczu.

Ludzie zaangażowani w działalność podziemną tworzyli mikrospołeczność silnie powiązaną z ówczesnym społeczeństwem polskim. Obowiązywały w niej intuicyjnie przyjmowane zachowania, wzorce osobowe oraz system wartości. Odwoływały się one do czasów wojny i okupacji jak również okresu rozbiorów, przez co utożsamiały się z narodowymi mitami i wielką literaturą, będąc dzięki temu zrozumiałe dla wszystkich Polaków bez względu na ich polityczne poglądy. Można powiedzieć, iż ludzie zaangażowani w podziemie żyli literacko. Dla wielu z nich stało się to kształtującym ich doświadczeniem jak również wspomnieniem wielkiej i skończonej przygody, nie znajdującym sobie miejsca we współczesności. Intensywność przeżywania tamtego okresu wynikała nie tylko ze świadomości działania dla dobra całego narodu, lecz także z klimatu ciągłej improwizacji w stanie rzeczywistego zagrożenia, co zwiokrotniało przeżywanie. Pytaniem jest, czy te niemożliwe dziś w zasadzie do odtworzenia imponderabilia wpływają na dzisiejsze wypowiedzi żyjących już w odmiennych warunkach uczestników konspiracji.

Podziemie było z jednej strony przestrzenią zamkniętą, co narzucały reguły konspiracji, z drugiej zaś otwierało się wobec społeczeństwa i nieformalnie wiązało z nim. Implikowało to ciągły dopływ nowych kadr i konwer-



setna
pozycja
"NOWEJ" 100



KAZIMIERZ
miesiące BRANDYS

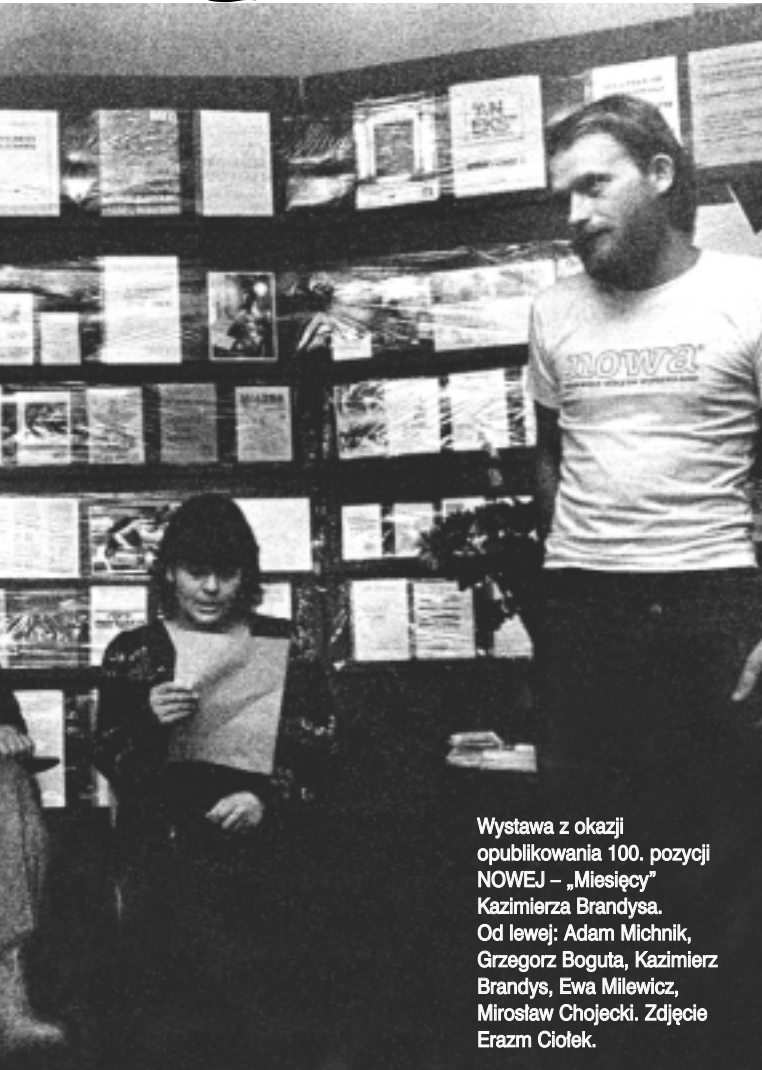
gencje:
postawy

i poglądy zwolenników oporu przeciwko komunistycznej władzy oddziaływały na niezaangażowanych i - słabiej, w dłuższej perspektywie czasowej - także na beneficjentów istniejącego układu, neutralizując oficjalną propagandę. Działo się tak też dlatego, że przytłaczająca większość szeregowych konspiratorów pracowała na dwóch etatach, oficjalnym i podziemnym, funkcjonując tym samym w dwóch porządkach: państwowym i prywatnym; trzeba przy tym podkreślić, że praca w podziemiu była dla większości z nich pracą honorową. Wzorce postulowane w świecie prywatności mają zawsze większą siłę nośną od głoszonych ex cathedra. Już w czasach gierkowskich nasycenie codziennego życia ideologią spowodowało sytuację, gdy fa-

sadowość prawd dekretnych odgórnie skłania ludzi do poszukiwania prawdy indywidualnej. Ta charakterystyczna cecha epoki bezpośrednio poprzedzającej narodziną „Solidarności” odegrała ważną rolę motywacyjną w późniejszych działaniach, określając psychospołeczne przyczyny upadku komunizmu.

Dla szeregowych pracowników podziemia uczestnictwo w nim było - o czym nie wszyscy z nich pamiętają - przede wszystkim manifestowaniem własnej obecności. Najszerzą płaszczyzną działalności stało się krzewienie wolnego słowa - prowadzona w atmosferze romantycznych zrywów narodowych pozytywistyczna praca u podstaw. W efekcie, z każdym rokiem istnienia i rozwoju niezależnego ruchu wydawniczego coraz większe trudności sprawiało komuni-

ndziesiąte zapomniane



Wystawa z okazji opublikowania 100. pozycji NOWEJ – „Miesiący” Kazimierza Brandysa. Od lewej: Adam Michnik, Grzegorz Boguła, Kazimierz Brandys, Ewa Milewicz, Mirosław Chojecki. Zdjęcie Erazm Ciołek.

stom zakłamywanie historii, zamykanie okna na świat i wpajanie swojej ideologii młodym pokoleniom. Przekazywane przez podziemie treści były akceptowane tym chętniej, im gorzej wyglądała ulubiona praktyka społeczna komunistów. Zaczęło obowiązywać kryterium oczywistości odczucia społecznego.

To wprowadzone przeze mnie kryterium odnosi się także, a raczej przede wszystkim, do przełomu 1980 r. Spowodowany on został w głównej mierze przez rozdział pomiędzy rzeczywistością a oficjalnym jej opisem. Protesty, a potem powszechne gromadzenie się pod sztandarem „Solidarności”, miały na celu nie tylko poprawę warunków materialnych, lecz przede wszystkim wyeliminowanie zakłamania i odzyskanie społecznej, narodowej podmiotowości. Masa -

dokładnie odwrotnie niż w Masse und Macht Eliasa Canettiego - charakteryzowała się pozytywnie, myślała, miała własny program, który dziś określilibyśmy jako syndykalistyczny, chciała współpracować z władzą. Słowem najlepiej oddającym sens tej współpracy było słowo „rozmawiać”. To wtedy przypomniano „umowę społeczną” Rousseau. Gdy władza, wprowadzając stan wojenny, zakazała rozmów, ludzie zaczęli wypowiadać się wbrew niej i przeciw niej. Naród odwrócił się od państwa, które przeciwko niemu wystąpiło. Zafunkcjonowała Markusowska postawa odmowy. Tak wygląda geneza konspiracji lat 80.

Powyższą krótką analizę należało przeprowadzić, gdyż o podanych tu przyczynach podjęcia przez Polaków walki z komunizmem powoli zapominamy. Widać to nawet w ankietowych

odpowiedziach konspiratorów, powtarzających najczęściej dwa szeroko propagowane powody zaistnienia „Solidarności” w stanie wojennym: działalność KOR i TKN w latach 70. i pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II do Polski w 1979 r. Nie negując znaczenia obu tych faktów trzeba stwierdzić, iż wpływ opozycji w czasach Gierka był bardzo ograniczony i uwiadczał się przede wszystkim w środowiskach intelektualnych, zaś Kościół zaczął szeroko pomagać opozycji dopiero w stanie wojennym. Co innego zatem miało decydujący wpływ na intensywność oporu po 1981 r. To powstanie „Solidarności” i tzw. „okres karnawału” stało się cezurą powszechnej jawności i niemożliwy okazał się po nim powrót do przeszłości.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Okrągły stół jest do dziś pozytywnie oceniany przez niedysyjszych konspiratorów, choć pozytywność tej oceny maleje w czasie. Nieprawdą jest natomiast supozycja o wyczerpywaniu się zasobów ludzkich i możliwości działania podziemia w okresie bezpośrednio przed jego obradami. Było wręcz przeciwnie, co udowadniają wydarzenia z lat 1988 i 1989 oraz nieprzerwany w tym czasie dopływ nowych kadr do pracy w konspiracji; to drugie dowodzi słuszności tezy o ugruntowanej w społeczeństwie postawie odmowy. Ponadto, przejrzynie dowolnej bibliografii wydawnictw bezdebitowych z tamtych lat potwierdza ich ilościowy i jakościowy wzrost.

Co pozostało z tamtych lat? U działaczy podziemia, także tych szeregowych, poczucie dobrze spełnionego obowiązku i wspomnienia czasu nadzwyczajnego, prywatne enkławy romantyzmu, nawet wzniosłości. W historii społecznej dowód na to, iż postawa odmowy wobec władzy połączona z indywidualnym i interpersonalnym poszukiwaniem własnych idei oraz solidarnością narodową prowadzi do sukcesu. Ruch społeczny bowiem jest zawsze w porównaniu z aparatem państwowym zdecentralizowany, przez co trudniejszy do opanowania, skanalizowania, zniszczenia. Nawet najsprawniejszy aparat terroru nie może aresztować wszystkich. Jego scentralizowanie okazuje się słabością, tak jak chaotyczność i swoista nielinijowość polskiej konspiracji lat 80. stała się jej siłą w konfrontacji z władzą.

Krzysztof Biernacki

ła umowa. Po pierwsze, to panowie – wolno sądzić – lubili wypić, nadto musieli odpalić flaszkę strażnicze i flaszkę sokistom. Ale przede wszystkim, to bali się wpaść na politycznej sprawie, no a flaszki, jako forma zapłaty, miały z nich, jakby co, robić kryminalistów. Tak woleli. Kolejne amnestie dla politycznych, zwykle kryminalnych omijające, jakoś ich nie przekonywały.

Wypiliśmy po połówce musztardówki: pan Józef, nie-Gieniek i ja. Z oferty zakąszenia śledziem w oleju nie skorzystałem. Poprosili mnie, bym sam dał babie jedną połówkę, bo im już tej nocy nie chce się tam iść. Wyszliśmy na zewnątrz. Paweł właśnie skończył opatulanie beli szarym tropikiem starego namiotu.

Wszyscy strzeliliśmy sobie po piątce.

- No to do następnego – pożegnał nas pan Józef.

- Chuj w dupę komunie – dodał nie-Gieniek.

Teraz sobie przypomniałem – Wojtek wspominał, że działek tego trzeciego, czyli wychodzi na to, że nie-Gienka, został przez ubowców rozwalony na wsi, tak bez sądu, jako działacz peeselowski, na cześć komuszego referendum trzy razy tak.

Samochód wlokąc się pod górę troszkę rzeził. Nic nowego – zawsze w tym miejscu pod górkę rzeził. Paweł jechał jedynką, albo dwójką, a na dodatek jeszcze chciał się na zakręcie upewnić, czy wszystko solidnie trzyma się kupy. Babol nas usłyszał. Wyszedł i już otwierał bramę. Wysiadłem z flaszką:

- Pan Józef prosił, aby pani to przekazała...

- Oj, chłopcy, chłopcy... Po co wy to barachło targacie – tam na wagonach tyle dobra, a wszystko, co im zabierzemy, to nie zmarnujemy. Mój stary to domek postawił z tego, co w torbie przez te lata przytąskałam. I cement, i armaturę, tylko większe rzeczy, jak wanna, to samochodem. Nic im nie zostawić, niech goli zostaną i niech goli, bez gaci za Wołgę uciekają, albo i za Don!

Jan Prowincjusz

PS. Jednym z uczestników opisanej transakcji był śp. Paweł Przecławski, wybitny drukarz sitowy, a potem oddany swej pracy terapeutą.

Co czwarty Polak miał w ręku bibułę

Co czwarty Polak deklaruje dziś, że w stanie wojennym i latach osiemdziesiątych miał styk z podziemnymi publikacjami. W dużych miastach podziemna prasa i wydawnictwa trafiały w ręce ponad połowy dorosłych mieszkańców PRL.

Firma GfK Polonia, która wspiera SWS w realizacji badań dotyczących obecnych losów dawnych działaczy podziemia, zadała w październiku ub. roku reprezentatywnej próbie mieszkańców Polski pytania dotyczące czytelnictwa podziemnych wydawnictw w okresie 1982-89. Pośród osób, które w 1982 r. miały ponad 14 lat, w miarę stały dostęp do podziemnych wydawnictw potwierdziło 11% badanych. Dalszych 8% przyznało, że miało do nich dostęp od czasu do czasu, a 7%, że miało z nimi kontakt sporadyczny. Oznacza to, że z podziemnymi wydawnictwami miała do czynienia 1/4 ogółu mieszkańców Polski.

Statystycznie bibuła docierała zarówno do mieszkańców wielkich miast, jak mniejszych ośrodków i na wieś. Jednak przede wszystkim czytano ją w wielkich miastach. Wśród ludzi zamieszkujących miasta powyżej 200 tysięcy mieszkańców (w Polsce jest 18 miast tej wielkości) - okresowo lub stale - niezależne wydawnictwa prze-

chodziły przez ręce 42% badanych. Dalszych 8% miało z nimi kontakt sporadyczny. W miastach powyżej pół miliona, odsetek osób, które pamiętają, że czytały bibułę wynosi nawet 59%. Gdyby przebadać tylko Warszawę i najprężniejsze ośrodki podziemnej „Solidarności”, z pewnością byłby on jeszcze wyższy.

Jednym z zaskakujących wyników badania jest, że wiele podziemnych druków docierało do ludzi mieszkających w średnich i małych miastach oraz na wsi. Dobrze ponad połowa (57%) ludzi, którzy deklarują, że mieli kontakt z bibułą mieszka w ośrodkach poniżej 200 tysięcy mieszkańców.

W takich mniejszych ośrodkach mieszka jednak aż 80% Polaków, a więc statystycznie czytelnictwo podziemnej prasy w nich było relatywnie niskie - poniżej 30% w miastach i miasteczkach oraz 13% na wsi. Mimo wszystko wyniki te pokazują, że zasięg podziemnej prasy był bardzo szeroki.

Czytelnictwo prasy podziemnej było różne w różnych grupach wykształcenia. Wśród osób z wyższym wykształceniem 58% badanych zetknęło się z wydawnictwami podziemnymi, a 47% deklaruje, że miało do nich dostęp przynajmniej od czasu do czasu. Wśród osób z wykształceniem średnim, już tylko 1/3

badanych pamięta, że stykała się z podziemną prasą. Niemniej jednak, to właśnie ludzie z wykształceniem średnim tworzyli główny korpus czytelników wydawnictw podziemnych. Stanowią oni aż 44% czytelników bibuły. Jest ich po prostu dużo więcej niż ludzi po studiach, więc średni poziom czytelnictwa był wśród nich relatywnie niższy.

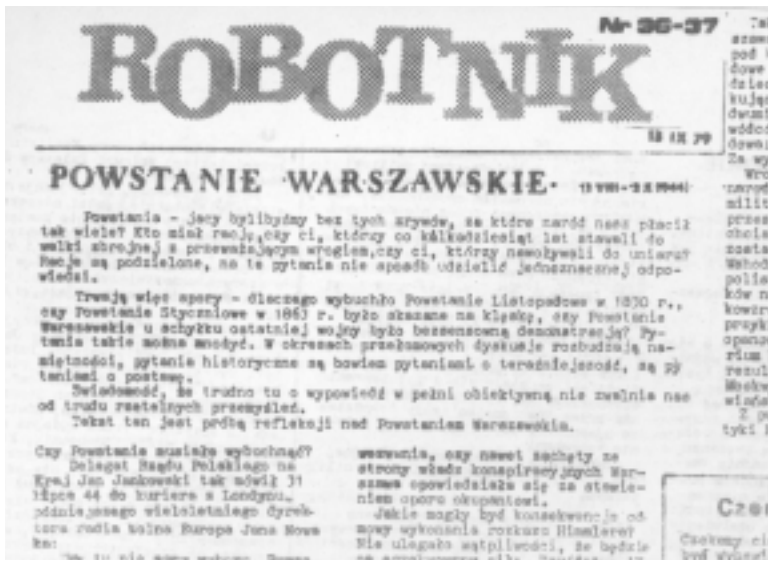
Wyniki te uznać trzeba za wielki sukces solidarnościowego podziemia. Ale okazuje się, że trudno to zrozumieć tym, którzy nie pamiętają tamtych czasów. Kiedy ogłosiliśmy je po raz pierwszy na konferencji prasowej w grudniu zeszłego roku, PAP z naszego newsa „co czwarty Polak czytał bibułę”, zrobił materiał informujący, że stały dostęp do bibuły miało 7% badanych, a do ponad 70% prasa podziemna nie docierała. W wielkich miastach „było lepiej” - bo odsetek tych, którzy nigdy nie mieli kontaktu z „bibułą” wynosił już tylko 45%. Cóż, niby to samo... Wstyd tylko, że taką wersję naszej informacji wydrukowała też „Gazeta Wyborcza”.

Adam Mielczarek

Cytowane dane pochodzą z sondażu na 1000 - osobowej próbie reprezentatywnej ogółu Polaków powyżej 15 roku życia, zrealizowanego w październiku 2005 r. przez instytut GfK Polonia. Stanowią one część wyników projektu „Śpiący rycerze” - badań socjologicznych nad współczesnymi losami dawnych, szeregowych działaczy podziemia. Projekt ten zrealizował SWS dzięki pomocy Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, GfK Polonia, SPSS Polska, Ośrodka Badań Lokalnych,

studia.q, Macieja Radziwiłła oraz anonimowych fundatorów.

W końcu czerwca, nakładem SWS ukaże się książka „Śpiący Rycerze”, prezentująca pełne wyniki badań.



Stowarzyszenie Wolnego Słowa



stowarzyszenie
wolnego słowa

Program obchodów Dni Wolnego Słowa



Stowarzyszenie Wolnego Słowa zrzesza działaczy opozycji antykomunistycznej i podziemia solidarnościowego: związkowców, członków organizacji studenckich i młodzieżowych, dziennikarzy, drukarzy, kolporterów, wykładowców oraz pisarzy, plastyków i artystów, a także wszystkich zaangażowanych w działalność na rzecz wolnego słowa w Polsce w latach 1976 - 1989. Przywrócenie wolności słowa jest uznawane przez społeczeństwo jako najważniejsze osiągnięcie polskiej demokracji po 1989r.

Do najistotniejszych celów Stowarzyszenia należy m.in. monitorowanie przejawów gwałcenia wolności słowa oraz pomoc osobom represjonowanym gdyby doszło do łamania wolności słowa w Polsce i za granicą. Członkowie SWS uczestniczyli w ukraińskiej „Pomarańczowej Rewolucji”, aktywnie wspomagają opozycję białoruską, i wietnamską.

Ważnym celem Stowarzyszenia jest gromadzenie, opracowywanie, upamiętnianie i upowszechnianie wiedzy na temat działalności opozycji w PRL lat 1976-89 a także integracja środowiska byłych działaczy podziemia oraz wspieranie tych, którzy pozostają w trudnej sytuacji bytowej. Stowarzyszenie Wolnego Słowa stara się reprezentować uczestników podziemia w kontaktach z władzami i instytucjami państwowymi, takimi jak IPN, Urząd ds. Kombatantów itp. Stowarzyszenie będzie zajmowało stanowisko oraz współuczestniczyło w tworzeniu ram prawnych lustracji, dekomunizacji oraz funkcjonowania IPN.

Stowarzyszenie współpracuje z IPN w sprawie weryfikacji i interpretacji materiałów powstałych w SB. Wraz z Instytutem Pamięci Narodowej prowadzimy klub dyskusyjny. Odbyły się już 3 spotkania z historykami IPN na temat opisywania historii PRL na podstawie teczek SB (jesień 2006). Ostatnie spotkanie odbyło się w lutym 2006 na temat opracowania „Ketman i Monika” - żywoty równoległe”.

Obecnie do SWS należy prawie 500 osób z całej Polski a także z Francji, Kanady, Niemiec, Szwecji, Norwegii i USA.

W rocznicę wyborów czerwcowych 1989 organizujemy rokrocznie Dni Wolnego Słowa, podczas których w Warszawie i innych miastach kraju odbywają się koncerty, wystawy, sesje naukowe, prowadzone są specjalne lekcje w szkołach ponadpodstawowych. Przy tej okazji rokrocznie wydajemy poświęcone historii wydawnictw podziemnych i kulturze niezależnej pismo „Bibuła” (ukazały się 3 zeszyty).

Jednym z efektów działalności SWS jest umieszczona na stronach internetowych Stowarzyszenia (www.sws.org.pl) baza „Niezależni dla kultury 1976-89”, zawierająca noty biograficzne ok. 3000 byłych działaczy podziemia wydawniczego i kulturalnego z Warszawy i aglomeracji warszawskiej. Baza jest cały czas uzupełniana. Będzie też poszerzona o kilka tysięcy not dotyczących działaczy podziemia wydawniczego i kulturalnego z terenu całego kraju, ale już w tej chwili jest największym tego typu przedsięwzięciem dokumentacyjnym w Polsce. Słownik „Niezależni dla kultury” zostanie w tym roku uzupełniony o 2,5 tys not z całej Polski.

Stowarzyszenie przeprowadziło jesienią 2005r. badania socjologiczne pod nazwą „Śpiący Rycerze”, opisują-

ce współczesne losy dawnych działaczy podziemia solidarnościowego z lat 1982 - 89.

W 2006r. SWS będzie współorganizował uroczyste obchody XXX rocznicy wydarzeń w Radomiu i Ursusie oraz XXX-lecia powstania Komitetu Obrony Robotników, które zapoczątkowały akcję solidarności z protestującymi oraz powstanie jawnej i zorganizowanej opozycji antykomunistycznej.

W styczniu 2006 roku zorganizowaliśmy w Sali Kolumnowej Sejmu RP pierwsze od 1989r. spotkanie uczestników ruchu Wolność i Pokój, w którym wzięło udział ponad 300 jego byłych uczestników.

W lutym 2006 w Łodzi SWS zorganizowało wspólnie z NZS obchody 25 lecia strajków łódzkich, które doprowadziły do rejestracji NZS w 1981 roku.

W marcu 2006 SWS współorganizowało koncert na rynku Nowego Miasta w Warszawie z udziałem muzyków białoruskich i polskich (transmitowany na żywo w TVP1) wspierający opozycję białoruską na tydzień przed wyborami prezydenckimi na Białorusi.

W październiku 2006 organizujemy w Warszawie obchody 26-lecia powstania Niezależnego Zrzeszenia Studentów. W ramach obchodów - koncert jubileuszowy, wystawa, konferencja.

W końcu roku 2006 organizujemy konferencję historyczno-edukacyjną „Opór społeczny i struktury podziemne po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981” z okazji 25 rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Rezultatem będzie publikacja poświęcona organizacjom oporu społecznego działającym w latach 1981-1989.

Powstały już 4 oddziały SWS: dolnośląski, którym kieruje Aleksander Gleichgewicht, łódzki, którym kieruje Włodzimierz Domagalski, lubelski, którym kieruje Bernard Nowak i małopolski, pod kierownictwem Liliany Batko-Sonik.

W maju 2006r. powstaną oddziały w woj. śląskim i na Mazowszu, w czerwcu na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Podlasiu.

Prezesem Stowarzyszenia jest Mirosław Chojecki, członek KOR, współtwórca i szef Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA. W skład Zarządu wchodzi: Konrad Bieliński - członek KOR, kierownictwa NOWEJ, członek podziemnych władz „S” w regionie Mazowsze, Wojciech Borowik - współpracownik KOR, redaktor podziemnego miesięcznika społeczno-politycznego „Vacat”, Janina Jankowska - dziennikarka, współzałożyciel i redaktor „Archiwum Solidarności” oraz Radia „Solidarność” w Reg. Mazowsze, członek Zarządu Głównego SDP, Krzysztof Markuszewski - redaktor podziemnego pisma „Robotnik”, Stefan Melak - założyciel (1979r.) konspiracyjnego Komitetu Katyńskiego, podziemny wydawca, Jan Strękowski - dziennikarz, redaktor i publicysta w II obiegu wydawniczym, m.in. „Biuletynu Informacyjnego” KOR i „Tygodnika Wojennego”, Ewa Sułkowska-Bierezin - działaczka opozycji antykomunistycznej z Łodzi, redaktorka kwartalnika literackiego „Puls”, Marcin Wolski - pisarz, satyryk, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Więcej informacji na stronie internetowej Stowarzyszenia: www.sws.org.pl

17 maja 2006 r. godz. 14.00 – inauguracja Dni Wolnego Słowa i otwarcie wystawy w Bibliotece Narodowej, Al. Niepodległości 213.

17 maja – 4 czerwca 2006 r. w Bibliotece Narodowej, Al. Niepodległości 213 – wystawa druków niezależnych z Polski i innych krajów Europy Środkowej, wystawa czynna w godzinach pracy Biblioteki.

17 maja 2006 r. godz. 18.00, Dom Kultury Śródmieście, ul. Smolna 9 (wejście od Al. Jerozolimskich) – otwarcie wystawy współczesnych prac plastyków działających w opozycji antykomunistycznej w latach 1976-89.

18 maja 2006 r. godz. 16.00. – 19.00 w PKiN, Pl. Defilad 1, sala Rudniawa – spotkanie – seminarium pt.: „Książka polityczna wobec konkurencji mediów elektronicznych” z wydawcami – uczestnikami Międzynarodowych Targów Książki.

3 czerwca 2006 r. godz. 10.00 – 14.00 – konferencja naukowa pt.: „Wolność słowa a demokratyczna kultura polityczna”, Uniwersytet Warszawski, Instytut Historii, ul. Krakowskie Przedmieście 26/28. Konferencję poprowadzą prof. prof. Jan Malicki, Andrzej Paczkowski, Andrzej Rychar.

3 czerwca 2006 r. godz. 19.00, Dom Kultury Śródmieście, ul. Smolna 9 (wejście od Al. Jerozolimskich) – spotkanie członków Stowarzyszenia Wolnego Słowa połączone z koncertem Bardów i pokazem filmów dokumentalnych.

4 czerwca 2006 r. godz. 19.00, Ogrody Frascati – koncert pt.: „Spotkanie po latach”. W programie, m.in.: występ Magdy Umer.

Patronat honorowy nad Dniami Wolnego Słowa objął Marszałek Senatu RP Bogdan Borusewicz.

Współorganizatorami są: Biblioteka Narodowa, Dom Kultury Śródmieście, Studium Europy Wschodniej UW, Ars Polona, SDP, PKiN. Obchody Dni Wolnego Słowa zostały dofinansowane przez m.st. Warszawę.

Wydawnictwo przygotowane przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa. Redakcja Jan Strękowski, współpraca: Małgorzata Zaremba, Jacek Giżyński. Redakcja dziękuje za pomoc w przygotowaniu „Bibuły” pani Elżbiecie Binder z Pracowni Wolnego Słowa SDP. Szczególne podziękowania należą się towarzyszącemu sztuki drukarskiej z drukarni „Efekt” – Janowi Piotrowskiemu i Tadeuszowi Markiewiczowi. Dziękujemy również wszystkim tym, o których mogliśmy w tej „Bibule” napisać.

Siedziba: ul. Wilcza 12c, 00-532 Warszawa

Nr konta: PKO S.A. 09 1240 1024 1111 0010 0741 3451 (wpłaty prosimy opatrywać dopiskiem 'składka' lub 'datek') – częściowo wypełniony, gotowy do druku blankiet wpłaty znajduje się na stronie internetowej: www.sws.org.pl. Adres e-mail: sws@sws.org.pl.

Miejsce i godziny pracy sekretariatu SWS: Dom Dziennikarza, ul. Foksal 3/5, 00-366 Warszawa, tel. 022 828 52 52, dzwony do 30 czerwca 2006 pon. i pt. od 10 do 16, piętro III, pok. 31.

Eter zatrzymany na papierze

II program Radia „S”

- rozmowa z redaktorem

- **Sluchacz Radia Wolna Europa prawie co tydzień może usłyszeć przez tę rozgłośnię audycje II programu radia „S”? Czy przygotowujecie te audycje w kraju a nadajecie z zagranicy?**

- Rzeczywiście w przeglądzie prasy podziemnej nadawanym przez polską rozgłośnię RWE można usłyszeć nasze audycje. I to dosyć chyba regularnie od ponad pół roku. Monachijska rozgłośnia nie powstała specjalnie w tym celu by nas nadawać. Istniejemy od prawie dwu lat, a regularnie nadajemy od ponad roku. Po prostu, nasze audycje docierają do rwe, która taktykę je jak nadchodzącą z kraju prasę podziemną. Bardzo nas to cieszy, że słyszy nas dużo więcej osób i to w całym kraju, a nie tylko w Warszawie. Jest to ważne szczególnie w tej chwili, gdy RWE nie jest zagłuszana.

- **Co to znaczy nadawać regularnie?**

- Pracujemy w cyklu tygodniowym. Przygotowujemy dziesięćminutowe audycje raz w tygodniu, a potem nasi ludzie nadają je przez tydzień z wciąż innych punktów miasta – Warszawy. Zasięg naszych nadajników nie jest duży i powtarzanie audycji jest koniecznością.

- **Jaki jest ten zasięg? I czy ludzie was znają?**

- W tej chwili możemy powiedzieć, że zdobyliśmy trochę stałych słuchaczy, którzy czekają na nasze audycje i niepokoją się, gdy następuje przerwa w ich odbiorze. Chodzi oczywiście o Warszawę, bo tu nadajemy regularnie. I o niektóre dzielnice, gdzie mamy więcej punktów nadawania. Na przykład na Woli, Żoliborzu czy Ursynowie.

- **Czy to co mówisz nie jest ujawnieniem, że tak powiem, miejsc nadawania służbom, które was poszukują?**

- Nie wydaje mi się. Zmieniamy często miejsca nadawania. SB tam orientację i tak ma. Na przykład montuje anteny do namierzania w miejscach, gdzie słychać nas najczęściej i najlepiej. Ostatnio zdarzyła się taka historia. Na ulicy Łazurowej, gdzie „dobrze słycać”, w bloku na strychu zamieszkała SB i zamontowała ogromny maszt. Mieszkańcy to ujawnili, pisali też o tym „Przegląd Wiadomości Agencji”. Okazało się, że prezes spółdzielni mieszkaniowej nie informując mieszkańców wpuścił

II program radia „S” - rozmowa z redaktorem

Słuchacz Radia Wolna Europa prawie co tydzień może usłyszeć nadawany przez tę rozgłośnię audycje II programu radia „S”? Czy przygotowujecie wasze audycje w kraju a nadajecie z zagranicy?

- Rzeczywiście w przeglądzie prasy podziemnej nadawanym przez rwe „Echa” nasze audycje. I to dosyć chyba regularnie od ponad pół roku. Monachijska rozgłośnia nie powstała specjalnie w tym celu, by nas nadawać a zagranicą. Istniejemy od prawie dwu lat, a regularnie nadajemy od ponad roku. Po prostu, nasze audycje docierają do rwe, która taktykę je jak nadchodzącą z kraju prasę podziemną. Bardzo nas to cieszy, że słyszy nas dużo więcej osób i to w całym kraju, a nie tylko w Warszawie. Jest to ważne szczególnie w tej chwili, gdy RWE nie jest zagłuszana.

- Co to znaczy nadawać regularnie?

- Pracujemy w cyklu tygodniowym. Przygotowujemy dziesięćminutowe audycje raz w tygodniu, a potem nasi ludzie nadają je przez tydzień z wciąż innych punktów miasta – Warszawy. Zasięg naszych nadajników nie jest duży i powtarzanie audycji jest koniecznością.

- Jaki jest ten zasięg? I czy ludzie was znają?

- W tej chwili możemy powiedzieć, że zdobyliśmy trochę stałych słuchaczy, którzy czekają na nasze audycje i niepokoją się, gdy następuje przerwa w ich odbiorze. Chodzi oczywiście o Warszawę, bo tu nadajemy regularnie. I o niektóre dzielnice, gdzie mamy więcej punktów nadawania. Na przykład na Woli, Żoliborzu czy Ursynowie.

- Czy to co mówisz nie jest ujawnieniem, że tak powiem, miejsc nadawania służbom, które was poszukują?

- Nie wydaje mi się. Zmieniamy często miejsca nadawania. SB tam orientację i tak ma. Na przykład montuje anteny do namierzania w miejscach, gdzie słychać nas najczęściej i najlepiej. Ostatnio zdarzyła się taka historia. Na ulicy Łazurowej, gdzie „dobrze słycać”, w bloku na strychu zamieszkała SB i zamontowała ogromny maszt. Mieszkańcy to ujawnili, pisali też o tym „Przegląd Wiadomości Agencji”. Okazało się, że prezes spółdzielni mieszkaniowej nie informując mieszkańców wpuścił

bezpieczeństwo do tego domu. I co dalej? Mieszkańcy się „wkurzyli”. I zażądali usunięcia niepożądanych współlokatorów. Zebrano mnóstwo podpisów w tej sprawie. Akcja jest w toku.

- **Nadajecie na programie TV. Czy nie lepiej na falach radiowych?**

- Nadajemy na paśmie I programu TVP. Najczęściej pod koniec dziennika i po lub na początku filmu. Lubimy seriale, bo wtedy usłyszy nas mnóstwo ludzi.

- **Nadajecie na fonii?**

- Tak. Tylko głos. Nadajnik TV jest tak silny, że nasze lokalne nadajniki są trudne do wychwycenia przez anteny. A zagłuszyć też nas nie można, bo trzeba by zagłuszyć telewizyjny program. Radio nie byłoby tak bezpieczne. Poza tym łatwo jest je zagłuszyć. Po doświadczeniach założonego przez Romaszewskich Radia „S” zdecydowaliśmy się na TV.

- **Czy uważacie się za spadkobierców tamtej rozgłośni?**

Powyższy wywiad, przekazany niedawno przez Pawła Gajowniczkę – przedstawiciela II programu radia „Solidarność” w Norwegii, został przeprowadzony na początku 1988r. i nadany przez RWE. Rozmówcami byli: Andrzej Fedorowicz – szef redakcji. Warto dodać, że w 1987r. II program Radia „S” za pośrednictwem swych przedstawicieli podpisał z dyrektorem RWE Markiem Łatyńskim umowę o retransmisji swych audycji, stąd ich regularna obecność na antenie Rozgłośni Polskiej. Radio nadawało regularnie do lutego 1989r. Ostatnia audycja nosiła numer 99.

- Oni byli pierwsi. Nie jesteśmy ich bezpośrednimi kontynuatorami, choć tacy też istnieją. To tak zwany program I radia „S”. Nasza rozgłośnia powstała później i jest rozgłośnią raczej określonej

grupy ludzi, którzy chcieli z niezależną informacją dotrzeć do innych niż czytelnicy podziemnej prasy odbiorców. Nadajemy dla wszystkich, także dla milicjantów i członków PZPR. Ale przede wszystkim docieramy do ludzi, którzy utracili kontakt z „Solidarnością” i niezależnymi działaniami. Wyrzuceni z ich mieszkań wchodzimy bocznymi drzwiami. A raczej przez okienko telewizyjne. (...) Więcej wspólnego mamy z formuła pisma o nazwie „Przegląd Wiadomości Agencji”. Tam pismo ożywają zdjęcia, rysunki. U nas fragmenty piosenek itp. Zresztą ten związek jest bliższy. Rozgłośnia jest finansowana w dużym stopniu z funduszy „PWA”.

- **A ja słyszałem o dużych pieniądzach zbieranych przez przedstawiciela radia na zachodzie. Podobno was też wspomaga?**

- My mamy swego przedstawiciela w Oslo. Natomiast ty, zdaje się mówisz o kimś innym. Słyszeliśmy, że ktoś w Londynie zbiera pieniądze na radio „S”. My nie utrzymujemy z nim kontaktu i ani w kraju ani za granicą nie otrzymaliśmy od niego żadnej pomocy. Jedynie przedstawiciele II programu oraz „PWA” mają z nami kontakt

i starają się uzyskać dla nas pomoc. I jedynie pomoc skierowaną do nas za ich pośrednictwem – rzeczywiście do nas dociera.

- **Rozumiesz z tego, że macie kłopoty finansowe?**

- Tak. Zrobienie nadajnika kosztuje kilkaset dolarów. Nie wszystkie części są do dostania w kraju. Sami robimy swoje nadajniki. I staramy się też pomóc w uruchamianiu niezależnych rozgłośni innym miastom. Szczególnie małym. Tam rola niezależnego radia jest jeszcze ważniejsza niż w dużym mieście. Ludzie którzy „złapią” audycję podziemnego radia długo o tym mówią. Jest to prawdziwe wydarzenie. Dlatego też od czasu do czasu jeździmy na „gościnne występy” na prowincję. Nie wszędzie co prawda się przedstawiamy, ale nadawaliśmy na przykład w Zakroczymiu. To małe miasteczko w ciągu dziesięciu minut... urosło. Po próbnym referendum w Garwo-

linie zrobiliśmy o nim audycję. Nadaliśmy ją w Warszawie i w Garwolinie. SB z całej okolicy przez 3 dni szalała.

- **A wy?**

- Myśmy szczęśliwie wrócili.

- **Ale wpadki?**

- Wpadł nam na początku 87 roku nadajnik. Ale nie podczas nadawania. Przedtem natomiast miałyby miejsce tak zwane wpadki „planowe”. Było to w okresie rozruchu rozgłośni. Jedna mogła być groźna ale zakończyła się dość szczęśliwie. Na początku maja 86, podczas mszy w kościele św. Stanisława na Żoliborzu nadawaliśmy swoją audycję. Zamontowaliśmy w pobliżu kościoła głośniki, a nadajnik o niewielkim zasięgu został umieszczony w pobliskim pustym, bo remontowanym właśnie budynku. No, jak się miało okazać, niezupełnie pustym. Kiedy nadajnik rozpoczął pracę okazało się, że piętro niżej znajdowała się kwatery SB. Mieliśmy na słuch radiowy na ten teren i nagle słyszemy nerwowe głosy. Oni myśleli, że to może jakaś inna ich ekipa to umieściła i wezwali kontrwywiad, bo bali się sami dotykać urządzeń. Nasi chłopcy, którzy montowali sprzęt przyznali się potem do pewnych „kłopotów”. W opustoszałym budynku i to w środku nocy panował dziwnie duży ruch. Mimo to jakimś cudem udało im się niepostrzeżenie umieścić nadajnik w budynku pełnym tajniaków.

- **A czy mieliście jakieś sukcesy?**

- Nadaliśmy już kilkadziesiąt audycji. A bardziej spektakularne? Już po raz drugi w sylwestra 87 część warszawiaków widząc wygłaszającego przemówienie noworoczne generała Jaruzelskiego słyszała... naszą audycję, a w niej między innymi przemówienie Zbigniewa Bujaka.

- **Wasze plany?**

- Chcemy rozbudowywać nasze radio. Montujemy nowe nadajniki. Mamy umówione emisje w kolejnych miastach. Chcemy być częściej obecni na telewizyjnej antenie. Ogranicza nas czas, finanse, jakość i ilość sprzętu który posiadamy, ale staramy się robić nasze audycje po prostu dobrze. Niezależnie od kłopotów, które mamy.

- **Kłopoty miną?**

- Kłopoty będą muszą. Jesteśmy przecież radiem podziemnym.

- **Dziękuję za rozmowę.**